Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1887. Rok X.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

WĘDROWNE PTAKI

PRZEZ

WIKTORA COSSMANNA.

Falujące łany, zielone łąki i wspaniałe lasy jakżeż byłyby martwemi i z czasem ponuro monotonnemi, gdyby im zabrakło ruchliwych, różnobarwnych i rozgłośnych spiewem ptaków. One nam opiewają cuda przyrody podczas wiosny i bezmyślny tylko człowiek nie poświęca im swej uwagi. Więc z niecierpliwością wyglądamy chwili, w której po martwej zimie pierwsze ptaszę spiewem ogłosi swe przybycie. Zaprawdę gdy lód i śnieg pokryją wody i ziemię, gdy świat owadów w letargu spoczywa, musi powabne ptactwo pozostawać w krajach południowych, gdzie zapędza je potrzeba żywienia się; lecz skoro tylko wiosna łagodniejszym stanem temperatury i ciepłym promieniem słońca się obwieści, wnet przysposabiają się owi wędrowcy do powrotu w strony rodzinne, i pojawiają się, jedni wcześniej, drudzy później, w miarę dalszej lub bliższej podróży, w miarę wytwarzania się potrzebnych do wyżywienia organicznych istot. Gdy wreszcie las i wolne przestrzenie w godowej zajaśnicją szacie, w czasie najpowabniejszych Świąt Zielonych, przybywa już ostatni wędrowiec do nas z dalekich Indyj, złotobarwny Pirol.

Roztoczmy mały obrazek, jak się rozwija wiosenny powrót niektórych, najbardziej znanych ptaków wędrownych, z uczuciem smutku przypatrzmy się jesiennemu odlotowi i towarzyszmy im w podróży, aby się dowiedzieć, dokąd i w jaki sposób ową podróż odbywają.

Pierwszym ptakiem, który nam obudzenie się natury z zimowego snu pieśnią zwiastuje, jest skowronek. Niedaleką on odbywa podróż, zimuje bowiem w południowych krajach Europy, przybywa więc wcześnie, często już w Lutym, skoro tylko śnieg z pól ustąpi, a słońce ożywczo z niebieskiego stropu spada. Pierwsza jego weselna pieśń po przykrej porze zimowej, wzbijająca się coraz głośniej, coraz radośniej, im wyżej ptaszę ku słońcu się wznosi, od dawna uczyniła je ulubieńcem rodu ludzkiego, ożywiając w nim uczucia swobody wiosennej. Hańba smakoszom, którzy tego uroczego spiewaka w jesieni, gdy najbardziej oblany, tysiącami spożywają i hańba też nielitościwym sidlarzom. W mnogiej gromadzie odleciał skowronek w jesieni ku południowi, gromadnie też powraca, odrywa się od rzeszy, tworzy parki i żywi się naprzód skąpo kończynami zielonych zasiewów zimowych, nim po obsianiu ról i po rozwinięciu się roślinności obfitszego doczeka się żeru.

Jeszcze skowronek pierwszym jest wracającym ptakiem wędrownym i żyje w towarzystwie tylko wróbla, tego proletaryusza świata ptasiego, którego zuchwałość, z jaką nawidza spichrze zbożowe, gołębniki i kurniki, na-

wet podczas najtwardszej zimy ochrania od głodu. Nagle, w początku Marca, zwłaszcza gdy południowo-zachodni wiatr przez kilka dni powiewał, spostrzegamy rój gołębi duplaków, przeciągających przez pola i zapadających na nie, gdy rolnik przygotował im zastawę. Wszelkie posiewy są dla nich pożądane, w tym względzie żarłoczność ich jest zadziwiającą. Gdy upodobają sobie miejsce, bogate w pożywienie i wodę bieżącą, gdy mają oparcie o las szpilkowy lub starą dębinę, to już nic im nie braknie do rozkoszy życia, parzą się swobodnie i stale pozostają. Ledwie odezwie się w lesie wabiący głos grzywacza, który powabną pieśnią hołubi się do swej oblubienicy, zapada nocą w lesie gromada drozdów. Z ciekawością rozglądają się naprzód po drzewach i krzewach, na których w ubiegłym roku gnieździli się lub wychowali, i jeżeli istotnie trafili na swą ojcowiznę, to już jej nie opuszczą. I oto las już zaledwie ze snu obudzony, ożywia się, w godzinach porannych i wieczornych głoszą swą pieśń drozdy i tęsknie przywołują wiosnę. Wnet potem jawi się jako dostojny przelotny gość słonka. Dziwny ton jej głosu, zwłaszcza rano i wieczorem o zmierzchu, którym wyraża uczucia swe miłośne, lub gdy zwołuje się do odlotu, znamionuje cudzoziemca. Przeżyła ona zimowe miesiące w Afryce, nawet w Chinach lub Japonii, i zamierzyła dla odmiany odbyć letnią willegiaturę w północnych okolicach Europy, nawet w najpółnocniejszych, w Islandyi i Kamczatce. Około trzech tygodni, w miarę stosunków atmosferycznych, mamy zaszczyt gościć w lasach naszych tego pożądanego przechodnia i pospieszamy w tej porze bliższą i ile możności najprzyjemniejszą zabrać z nim znajomość. Gdy już znikły słonki, a pierwsze rozmiłowane żabki wieczorem tęskne głosy ku nam wysyłają, jawi się w wcale licznej rodzinnej rzeszy wrzawliwy szpak. Szuka on również przeszłorocznej ojcowizny, w lasach wydrążonych gałęzi dębowych, po wsiach domków gniazdowych, które wieśniak w znacznej liczbie do drzew owocowych przytwierdza, nie dla hodowania tych ptaków, lecz dla handlu młodemi.

Widzimy już także grzywacza. Słyszymy w lesie jego donośny bełkocący głos, a wkrótce wtórzy mu turkawka. „Maszli grosz w kieszeni i trzymasz silnie w ręku, to nie zabraknie ci go przez cały rok“, bo oto odezwała się kukułka. I ona przybyła z Afryki, a ponieważ zawsze kieruje swą podróż na Maltę, to już dokładnie znana nam jej droga. Nie długo wszakże wróży ta wieszczka pożądliwym męża dziewczętom, lub dzieci młodym mężatkom, nie długo tępi owady w naszych lasach, już w Lipcu opuszcza je, nie może przeto należycie zajmować się lęgiem, zwłaszcza że od Maja do Lipca pojedyncze znosi jaja w znacznych przerwach czasu, więc wylęgiwanie ich i wychowanie powierza pokrzywkom i innym drobnym ptakom, w których gniazda składa owoc miłości, nie troszcząc się wcale o to gniazdo. Młoda kukułka ulatuje w Sierpniu za swemi nieznanemi rodzicami i w cudowny sposób odszukuje ich.

Wraz z kwiatem drzew owocowych zbliża się ku nam około końca Kwietnia nasza *prima donna assoluta* — słowik. Już las i zarośla pokryte różnobarwnym kwiatem i liściem, buczyna rozwinęła pierwszą swą delikatną zieloność, kobierzec leśny utkany różnorodnem kwieciem, słowem rozwinęła się w pełni wiosna. Ośm do czternastu dni przed samicami przybywają samce jako kwatermistrze. Jeżeli znaleźli odpowiednie miejsce w gajach, w pobliżu łąk i wód, najchętniej tam, gdzie w ubiegłym roku się gnieździły, to wywodzą nocą swe pieśni, przed godziną duchów i po niej, w celu zwabienia niemi przeciągających samiczek. Gdy która z nich urokiem spiewu pociągnięta, przyłączyła się do spiewaka i ubiegły pierwsze chwile miłośne, to spiew rozlega się tylko z brzaskiem dnia i podczas kilku godzin dziennych. Niejeden wszakże przywabiwszy do siebie nocnym spiewem uroczą samiczkę, z wdzięczności później także głosi swą pieśń śród ciszy nocnej. Słowiki lęgną się w porze letniej raz tylko, rzadko dwa razy, a z wzmagającym się skwarem słońca odzywa się ich spiew coraz krótszy, coraz bardziej przerywany, aż po upływie krótkich dwóch miesięcy zupełnie się ucisza. Gdy świętojańskie robaczki roją się w powietrzu i świecą na łąkach i w krzewach, już wtedy milknie uroczy pieśniarz wiosenny, zaprawia młode swe do lotu i do połowu owadów, a już w połowie sierpnia odlatuje cała rodzina, cicho przenosząc się z jednego krzaka na drugi, ku południowemu wschodowi, aby różom Persyi zanieść pieśń powitalną.

Obok słowika wiele jest innych spiewaków, przybyłych również około Zielonych Świąt. Siwa pokrzywka wysila się naśladować głos krewniaka swego słowika, czarnogłówka niezmordowanie w nocy wywodzi jeszcze swe pieśni, gdy senna *prima donna* swoje już zakończyła, rudzika odzywa się głos melancholijny, nieco drzący, ziemba zuchwale nuci, makolągwa rzuca swe pełne tony, a wtórują im czyżyk i szczygieł, aż do mysikrólika, kolibri naszego.

Wyjdźmy z lasu na przyległe obszary polne, gdzie wiatr poranny chłoszcze niedorosłe jeszcze kłosy zbożowe i zmusza je do miotania się tak, że podobne się stają do wzburzonych fal morskich, a rosa błyszcząca spada z ich szczytów na ziemię, wtedy odezwie się prócz skowronka pieśń poranna przepiórki. W nocy silnym lotem przybyła ona z Afryki i azyatyckiej Turcyi do nas, aby się tu ochronić od prześladowania licznych swych nieprzyjaciół i pozostaje w wybranem miejscu, gdzie mnoży się i żyje. W czternaście dni prawie po przebyciu przepiórki słyszymy na łąkach i polach głos chruściela. Nosi on niesłusznie miano króla przepiórek, ponieważ według mylnej przypowieści myśliwskiej ma on przewodzić odlotowi jesiennemu tych ptaków. Właściwą jego nazwą jest derkacz, na którą też w pełni zasługuje, przebiegając bowiem na długich nogach pola i łąki, wrzeszczy przeraźliwie aż do chwili, w której mu się uda zwabić ku sobie samicę. Wysoko w powietrzu płynie kania ruda. Czasem tylko dostrzedz można uderzenie skrzydłem, a jednak lot jej jest szybki i pewny. Pięknem swem jasnem okiem widzi wszystko, cokolwiek porusza się i żyje na ziemi, na szczytach drzew i w powietrzu. Co do jej gustu przypadnie, na to spada z szybkością błyskawicy z niezmierzonej wysokości prostopadle na ziemię i rzadko uchodzi jej upatrzona ofiara nieszczęsna. Z przenikliwie chrapliwym świstem wznosi się myszołów, ciężkie zataczając koła, coraz wyżej, a z nim jego oblubienica. Uważany bywa mylnie za ptaka pożytecznego, ponieważ także myszy łowi, groźna drapieżność jest mu wrodzoną. Ze wszystkich sokołów lot jego najcięższy i bardzo rzadko udaje mu się schwytać ptaka w locie lub inne zwierzę w biegu. Natomiast celuje wzorową cierpliwością i wytrwałością, znając swą niezręczność wyczekuje z pozorną obojętnością tak długo stosownej chwili,

w której bez obawy mylnego uderzenia rzuca się na upatrzoną ofiarę. Groźniejszym od nich jest jastrząb-gołębiarz. Krótkie jego skrzydła nie pozwalają mu wprawdzie wznosić się zbyt wysoko, ale z niesłychaną szybkością lata po nad powierzchnią ziemi i rzuca się na każdego ptaka, siedzącego lub lecącego, na każdego ssaka, którego pokonać może. Ci rozbójnicy powietrzni, chciwi mordu, są także ptakami wędrownymi. Idą w ślad za swemi ofiarami, gdy one w jesieni ciągną na południe i wracają wraz z niemi na wiosnę. Przywodzimy tu tylko głównych reprezentantów drapieżnictwa, niestety nader oni są liczni, osierocają też w lecie niejedną skrzydlatą rodzinę i żałobą okrywają niejedno szczęście małżeńskie.

Podając szkicowe spostrzeżenia z lasu i pola, nie zwróciliśmy uwagi na ruchliwe życie na wodach i błotach, lubo tam znajdują się najróżnorodniejsze, łowne okazy ptaków wędrownych, więc o nich szczegółowo mówić chcemy. Gdy południowe skwary afrykańskiego i azyatyckiego klimatu wysuszają wezbrane w czasie pory dżdżystej w tych krajach wody jezior i rzek, jako też moczarów, a milionom ptaków wodnych i błotnych zabraknie niezmierzonej przestrzeni wodnej, na której tak błogo im było w porze europejskiej zimy, gdy już nie ma tam odpowiednich dla ich bytu warunków; wówczas ciągną ku północy, przelatują przez morze i szukają w Europie, naprzód w południowych krajach, a gdy tam również słońce wszystkie stojące wody wysuszy, coraz dalej na północy siedzib dla siebie. Wiele gatunków, mianowicie 20 rodu kaczego, ciągną bezzwłocznie ku wodom morza północnego i lodowatego, pozostając w krajach pośrednich tylko dla odpoczynku. Widzimy różnorodne gromady już w Lutym, skoro tylko lód z wód naszych ustąpi, a w następnym miesiącu dosięga liczba owych wędrowców najwyższego punktu. Dzikie gęsi ciągną w długich trójkątnych grupach w powietrzu, oznajmiając swój przelot donośnym krzykiem; bociany i żórawie lecąc w uregulowanym szyku szukają znanych od dawna miejsc; tłumy żwawych czajek opuszczają Egipt, Chiny i Persyę, aby na naszych bagnistych łąkach rozkoszować; bekasy przeciągają z jednego moczaru na drugi, nim znajdą odpowiednią letnią siedzibę; ciężko wzlatujące kurki wodne biegiem, na wodzie płynąc, niekiedy wzlatując dalekie przebywają przestrzenie; czaple przelatują w wielkiej liczbie, podobnie jak dzikie gęsi; smaczne siewki, przebywające w porze zimowej w Sardynii, spieszą ku północy Europy; kuliki i kulony okrążają w szybkim locie brzegi stawów i większych moczarów; mewy z głośnym wrzaskiem trzepią się po nad powierzchnią wód, chciwie rzucając się na rybki — jednem słowem chaotyczne szerzy się życie podczas ciągu śród ptactwa błotnego i wodnego, a ich różnorodne, niekiedy dziwne kształty i właściwości jawnemi się stają dopiero wtedy, gdy można je widzieć z ukrycia, lub gdy są wypłoszone z kryjówek.

Dołączę tu mały obrazek myśliwski, jakiego nieraz byłem świadkiem w pięknych Węgrzech, na wybrzeżach rybnej Cisy. Rzeka ta corocznie prawie wylewa się z swego koryta na nizinach i zatapia ogromne przestrzenie pust. Gdy wody rzeczne opadną, pozostają wylewiska na nizinach, szczególnie w zagłębieniach, pozostają stale i wytwarzają bujne trzciny. Tam to na wiosnę roi się różnorodne ptactwo błotne i wodne. W taką miejscowość zapraszam z sobą czytelnika. Ledwie grunt pod stopą staje się nieco elastyczniejszym, ledwie wsączy się woda w moje obuwie, już wzlatują ze wszystkich stron kszyki. Strzał do nich ściąga baczność reszty mieszkańców błota na wspólnego nieprzyjaciela i wywołuje w pobliskich trzcinach niezmierne zamięszanie. Długonogie czaple wznoszą się ciężko z zwisłemi naprzód nogami, ale wnet już zwykłym lotem unoszą się nad moją głową z wrzaskiem niemiłym. Z głośnem kwakaniem zrywają się gromady dzikich kaczek rozmaitej wielkości i barwy i z świszczącem uderzaniem skrzydeł ulatują, podczas gdy kilka czajek krąży z żałośnym głosem nademną, a nawet bije na mego psa, bo w pobliżu zbudowały gniazdo i pragną odwrócić uwagę moją i psa od niego. Mewy też w znacznej liczbie nadciągają i z wrzaskiem przenikliwym bez bojażni nad nami się unoszą, aby nam nie dozwolić przystępu do ich lęgowiska. Nie troszcząc się o ptactwo niepożyteczne dla kuchni, chcę iść naprzód, zwłaszcza żem spostrzegł dwie zapadające przy bliskim brzegu siewki złote, ale to niemożliwe. Wrzaskliwa rzesza podnosi iście piekielną wrzawę, uderza na mnie i nieraz czuję uderzenie skrzydła przy mojej twarzy. Wreszcie rozgniewany tą napaścią biorę na cel najzuchwalszego z ptaków i spuszczam go. Ale znaczyło to dolewać oliwy do ognia; mewy i czajki krążąc otaczają martwego ptaka, wreszcie usiłują przywołać go do życia, a gdy to do celu nie doprowadziło, zbierają się i wściekle nacierają na mordercę, straszne nań swym głosem miotając przekleństwa. Drugi strzał, spuszczający znowu jedną ofiarę i nadający rzeczy poważniejsze znaczenie, odstrasza wreszcie tłumy, oddycham wolniej, gdy ów przeraźliwy wrzask w dal odemnie się odsunął. Wstępuję w trzcinę, która mnie prawie całego nakrywa i czekam, ażali mi los nie nadarzy strzału do przelatującej gromady kaczek. Po kostki stoję w zimnej wodzie i cieszę się nieprzemakalnością obuwia, a słońce poranne spada gorącym promieniem na moją głowę. Nagle słyszę potężne uderzenie skrzydła w mojem pobliżu i spostrzegam wspaniałą czarną kanię, która pędząc za swą ofiarą przeciąga ponad trzciną, składam się, a drapieżnik spada martwy na wodę. Znowu wrzask, kwakanie, krążenie ze wszystkich stron. Wypłoszone stadko krzyżówek przelatuje nad moją głową. Podwójny strzał ściąga ogromnego bąka, którego nie śmiertelnie rażonego, z wielkim trudem w gęstem sitowiu pies mój odszukał i przyaportował. Zimna woda i skwar słońca mogą mnie nabawić choroby, więc dążę ku lądowi, a wracając do domu oglądam się pożądliwie ku stadom kaczek, które ciągną ponad trzciną i zwierciadłem wody i na nie zapadają.

W dawniejszych czasach było polowanie wodne wygodniejsze i piękniejsze, gdy konno, w towarzystwie poważnych dam, z zakapturzonym sokołem na rękawicy lewej ręki, przebiegano brzegi stawów i bagnisk, gdy gońcy i wyżły wypędzali z trzcin tłumy czapel i kaczek, i gdy na nie puszczano szybko rozkapturzone sokoły, które w gwałtownym krążącym locie coraz wyżej się wznosząc, nagle spadały na długonogie ptaki lub na trwożliwie kwaczące kaczki, chwytały je i na ziemię rzucały.

Wreszcie wybrały już sobie wszystkie gatunki licznych ptaków wędrownych odpowiednie ich skłonności i potrzebie letnie siedziby, już się sparowały i już oddały się spokojnemu rodzinnemu życiu. Sześć miesięcy swobodnego spokoju szybko przebiegają, ukończyły się już żniwa, lasy przybierają postać jesienną, a ptaki wędrowne spieszą znowu ku cieplejszym strefom, aby ochronić się

od zimowego niedostatku pożywienia. Ptaki, które najpóźniej na wiosnę przybyły, opuszczają nas najrychlej, najwcześniej przybyłe pozostają najdłużej. Najbliższe nam jaskółki wieszczą główny odlot. Na nich, naszych domownikach, najlepiej można dostrzegać przygotowania do dalekiej podróży, którego widzieć nie możemy u płochliwszego, stroniącego od nas ptactwa. Po pierwszych chłodniejszych nocach w końcu Sierpnia zbierają się one w celu gromadnej narady na wysokich dachach i wieżach, wprawiają młodzież do dłuższego lotu i śród świegotu postanawiają dzień rozpoczęcia podróży. Potem zwidzają jeszcze ulubione miejsca, gdzie się gnieździły lub rodziły i swobodnie lato przepędziły, spiewają na pożegnanie ostatnią pieśń dziękczynną i nagle w nocy ulatują. Smutno bez tych skrzydlatych naszych spółmieszkańców, z żalem spoglądamy na opuszczone gniazda, pomnąc, że i my, miotani zrządzeniami losu, opuszczać musimy miejsca nasze rodzinne. Gdy już opuściły nas jaskółki, rozpoczyna się ogólne przeciąganie i wędrówka, ale na razie nie odbywa się podróż prosto do zamierzonej siedziby zimowej, owszem, ptaki wędrowne po drodze, według upodobania, odpoczywają krócej lub dłużej, aż naciskająca zima zniewoli je do dalszej podróży ku południowi. Nie chcemy towarzyszyć w wędrówce drobnym spiewakom leśnym, albowiem musiałoby się nam zakrwawić serce, widząc, jak miliony tych powabnych istot na ciągu jesiennym w południowym Tyrolu i w północnych Włoszech bywają łowione i spożywane przez najgroźniejszego drapieżcę — człowieka, mimo międzynarodowego prawa ochrony ptaków; nie chcemy również iść za ciągiem przepiórek, których przybycie do Sycylii i Sardynii jako uroczystość ludowa bywa witane. Wtedy wyruszają wszyscy mieszkańcy wybrzeży w pola, z księdzem na czele, który po otrzymaniu radośnej wieści nawet od mszy św. się odrywa, a mieszkańcy ci uzbrojeni w długie drągi, nie strzegąc prawa gościnności, ubijają tysiącami owych podróżą znużonych wędrowców. Więc patrzmy na ciąg ptactwa błotnego i wodnego aż do Egiptu, gdzie bogaty w wody Nil w porze jesiennej wybrzeża i całą Deltę zatapia. Silni w locie i płochliwi nie wiele cierpią owi wędrowcy podczas ciągu, bo choć po drodze wiele ich pada ofiarą drapieżności zwierząt i ludzi, to nie wpływa to wcale prawie na zmniejszenie ilości tak licznej rzeszy. Na wybrzeżach Nilu zdają się ptaki błotne i wodne dawać sobie *rendez-vous*. Przyłączają się też do nich azyatyckie i afrykańskie pokrewne rody, przynosząc do znanych form nowe odmiany. Obok siwej i białej czapli znajdujemy poważnego marabuta, ucieszie marsowatego marabuta i w purpurowej szacie kroczącego flaminga; do licznych północnych gatunków kaczek przyłączają się większe południowe, do naszych kulików uświęcony *ibis;* do europejskich czajek afrykańskie, zdobne w fantastyczne pióra u szyi. Tłumy ogromnych pelikanów, czarne i białe łabędzie, dzikie gęsi różnorodne, bociany, żórawie, mewy, bekasy, kulony i kuliki różnych barw i gatunków swobodnemi się czują w dawnem państwie Faraonów. Białogłowy sęp, sokoł i orzeł krzykliwy, czarna kania i błotniak znajdują tu w rybach, owadach, płazach i tłustem ptactwie wodnem niemały wybór i tuczą się wybornie w tej porze zimowej. Nieustanne tu wzajemne na siebie polowanie, wrzask, świst, skrzek bez końca. Nagle opanowuje ptactwo przerażenie i podnosi się ono w powietrze w czarnych chmurach — żarłoczny krokodyl ukazuje z mętnych wód obrzydły swój łeb, a z łoskotem i szumem przedziera się przez sitowia przerażający koń nilowy.

tłum. *J. Ł.*

DZIEŃ LISOWCZYKA.

PRZEZ

ZYGMUNTA PIETRUSKIEGO.

OBRAZ IV.

Zachodzenie do miotu.

Ruszyły wozy, tabor się posuwa,
A każdy z łowców niepewność odczuwa,
Jak Jan z objazdu téż dzisiaj się sprawił
I jaki wynik Mistrzowi objawił.
I choćby każdy za chwileczkę małą
Mógł się dowiedzieć, prawdę poznać całą —
Dość wprzód poskoczyć, dość pytanie rzucić
I znów spokojnie w swe miejsce powrócić —
Ale reguła zakonna zabrania
Wprowadzać nieład w czasie polowania
I żaden tego Lisowczyk nie zrobi,
Bo karność w boru myśliwego zdobi,
A za najmniejsze nawet przekroczenie
I od zakazu choć na krok zboczenie,
Winnego karą Mistrz Wielki obłoży,
A co przykrzejsze, a co jeszcze gorzej,
Że o współbraci w łowiectwie wybrykach
Dziejopis wzmiankę uczyni w kronikach.
Wreszcie wóz pierwszy wstrzymał się pod knieją,
A za nim inne stanęły koleją:
I nie tak spiesznie z łowieckiej obieży
Puszczona sarna swobodnie w świat bieży;
I nie tak szybko z berła wypuszczony
Wzlatuje sokoł światłem oślepiony;
Jak w tejże chwili w pospiechu bezładnie,
Do Jana dążą myśliwi gromadnie.
Każdy go pyta, słowami zarzuca,
Wątpliwą chwilę przydłuża, nie skróca:
„Powiadaj Janie, czyli zwierz w Waldynie,
„Czy też w Pasiecznej, czy w Dubowym klinie?
„Mów, czyli mogłeś potropić po błocie,
„Czy dużo dzików, czy jest niedźwiedź w miocie?“
Jan nie mógł zrazu przyjść prawie do słowa,
Bo go wraz łowców pytała połowa,
Więc chwilkę milczał, panom się pokłonił
Z uszanowaniem i głowę odsłonił:
„Tyle też świata, co ja dzisiaj zbiegłem
„I mało jakie gdzie tropy dostrzegłem,
„Temu to trudno dzisiaj Jaśnie Panie,
„Aby udało nam się polowanie.
„Byłem w Batogu, Rowienkach, Orłowej

„I nigdzie nie ma ani już połowy
„Tych dzików, coby być winno u boru,
„A więc tak sądząc, nic nie wiem — z pozoru
„Jest w kilku miejscach parę licznych stadek,
„Ale się spotkać, to „wielgi przypadek“,
„A zaś Dmytrowa, tak dawniej ponętna,
„Ta mi jest dzsisiaj całkiem „obojętna“;
„Tylko w Dubowem, gdzie knieja przydrożna
„Napewne zwierza otropić już można:
„Jest dwa niedźwiedzie, jest wielgi i mały,
„Trzynaście dzików i żbik okazały —
„Zresztą nic nie ma, potropić się nie da
„I w kniei pusto, nic nie ma i bieda!“
Jak wojsko długiem znużone czekaniem
Tęskniąc w biwakach za ostrem spotkaniem,
Gdy pożądana wiadomość przybieży,
Że jutro z świtem wróg zbrojno uderzy,
Cieszy się naprzód w wojennym zapale,
Marząc o bitwach, o rycerskiej chwale;
Tak Lisowczykom na wiadomość ową
Z radości w uściech zamarło aż słowo,
Szczęsnej nowinie ledwo chcieli wierzyć,
A każdy pragnął ze zwierzem się zmierzyć,
Dostrzec, wymierzyć, wystrzelić i zabić,
Łowcze trofea na własność zagrabić,
Choćby w potrzebie nawet przyszło krwawą
Okryć się w łowach nieśmiertelną sławą!
„Czuj duch Michajku! — Mistrz szepnął, głos zniżył
I ręką znak dał — aby się przybliżył —
„Pierwszy się weźmie klinik Dubowego,
„Będziesz parł silniej od skrzydła lewego
„I trąbką głosił, a gonić pomału,
„Rozstawić chłopców i czekać sygnału!“
Trąbka zagrała — bieży liszka chyża,
Ostrożnie idąc do łowców się zbliża;
Nikt się nie złożył, prawie nikt nie zoczył —
Wtem rogacz pędem z gęstwiny wyskoczył,
Zwolnił, przystanął i odszedł pomału —
A w boru echo drzemie bez wystrzału.
Słyszysz — wśród ciszy gałęź trzasła sucha —
Myśliwy nie drgnął, patrzy przed się, słucha,
Stoi jak posąg, bez ruchu, bez drgnienia,
Widzisz, że żyje, czasem okiem błyśnie
I zaufany sztuciec w dłoni ciśnie.
Aż ryk się ozwał, przeciągły, ponury
I w gąszczy mignął niedźwiedzia cień bury.
Huk strzału zagrzmiał — przyroda przelękła
Echem odbrzmiała.... ach! struna mi pękła!!
Wybaczcie proszę mili Towarzysze,
Że miotu tego dalej nie opiszę.
Struna mi pękła — więc z tej lasu części,
Chodźmy, bo nam się już tutaj nie szczęści,
A gdy wam dzisiaj już spiewać nie mogę,
Proszę na jutro na Andrunia drogę.

OBRAZ V.

Miot.

Od lata niedźwiedź trzymał się w rewirach
Dolnych Lisowic, czasem w lekkich żbyrach
Niniowskich krzaków siedzibę obierał
To na dni parę w Dąbrowę zazierał,
To znowu czasem, by pomylić szyki
Tropiącej straży, krył się aż w Grabniki.
Darmo straż łowcza śledziła usilnie,
Zrana po rosie trop badając pilnie,
Daremnie! Nabrać nie mogła pewności,
Oprócz tej jednej, że kędyś w bliskości
Grabnik, Dąbrowy, zwyczajnie przebywa,
Ale gdzie, w którym miocie się ukrywa,
Nikt nie mógł stwierdzić — więc łowcy w jesieni
Zjechawszy społem, wciąż nieutrudzeni
Oślep szukali, żywiąc przekonanie,
Że kiedyś przecie nastąpi spotkanie.
I miot za miotem brano za porządkiem;
Bo też byłoby nawet nierozsądkiem
Wciąż się przerzucać w odleglejsze mioty
I niepotrzebnej przysparzać roboty.
A więc z kolei Łowczy miot naznacza
Drogą Andrunia, wzdłuż linii Farcacsa.
Myśliwi spiesznie przez Niniowskie krzaki
Milcząc zachodzą — widzą różne znaki
Pobytu zwierza: ówdzie rozszczepione
Tej nocy drzewo stoi pochylone,
Stoi, a wrzkomo walić się poczyna,
Jak zębem czasu niszczona ruina.
Tam znowu łowiec, wciąż baczny z natury,
Spojrzał ku ziemi, widzi trop, pazury,
Więc serce w łonie z niezwyczajną siłą
Z łowczej otuchy tak wszystkim zabiło,
Że zda się prawie, iż mu pierś rozsadzi
Tymczasem Łowczy na zastęp prowadzi,
Jan idąc naprzód miejsca ukazuje,
A każdy swego numeru pilnuje
I na znak dany tylko rękę wzniesie,
Stanął pod drzewem — nie dojrzeć go w lesie.
A wszystko sprawnie w takiej niemal ciszy,
Że na sto kroków nikt szmeru nie słyszy.
I nie tak cicho saperów oddziały
Kopiąc aprosze, sypiąc ziemne wały,
W nocy pracują, ziemię poruszają,
A wciąż ku twierdzy wroga się zbliżają,
Jak Lisowczyków zastęp się przybliża
Cicho, w milczeniu — by nie spłoszyć zwierza.
Stanął ostatni — trąbka się ozwała
I wnet w nagonce druga w głos odgrzmiała.
Rusza obława, zwolna postępuje,
Równo wciąż idąc z cicha poświstuje
Stukając w drzewa — trąbka ciągle dzwoni,
Raz tu, raz ówdzie, potem w tamtej stronie,
Że ktoby nie znał, ten sądzićby gotów,
Że kilkanaście brzmi rogów wśród miotów,
Lecz głos to jednej trąbki się rozlega,
A sztukmistrz z skrzydła na skrzydło przebiega,
Michajko, jak mistrz czarnoksięskiej sztuki,
Który korzysta z nieczystej nauki,
Na obu skrzydłach trąbi równocześnie,
A bór odbrzmiewa rogu jego pieśni.
Nagonki naszej dzielny kierowniku,
Nikt jak ty sprawniej nie utrzyma szyku,
Choć i to prawda, masz zadanie łatwe
Mając tak mężną, nieulękłą dziatwę

Pod rozkazami, której nie odwagi,
Lecz trzeba czasem dodawać rozwagi.
Bom ja sam widział, jak w stanowczej chwili
Chłopcy kijami niedźwiedzia ubili,
Oni to wszyscy ucznie twojej szkoły,
Owoc twej pracy i twojej mozoły.
Wierz mi, że gdybym z przyszłych biegiem czasów
Został mocarzem wszystkich górskich lasów,
Żeś w swym zawodzie doskonały całkiem,
Nie polnym wprawdzie, lecz leśnym marszałkiem
Mianowałbym cię, a zaś w miejsce laski
Dałbym ci trąbkę u złotej opaski!
Minęła chwila — wtem u lewej flanki
Powstał krzyk nagły pośrodku naganki —
Trąbka zawyła — słychać głos: „Na lewo,
„Nie puść, uważaj, bij kijem o drzewo!“
Krzyk taki silny i taki donośny
I tak wesoły i taki radośny,
Że łowcy w pierwszej już chwili poznali,
Iż to król borów w nieznacznej oddali.
Nagonka teraz ciągle w miejscu stoi
I chociaż żaden z chłopców się nie boi,
Krokiem nie ruszy, póki zwierz w gęstwinie
Wciąż umykając z przed oczu nie zginie,
Nie jak gdzieindziej, kędy zgraja głupia
Na widok zwierza lękliwie się skupia,
A zwierz tymczasem zrobionym otworem
W świat gdzieś uchodzi, żegnając się z borem.
Ponieważ dla was mili towarzysze,
A nie dla obcych te wspomnienia piszę,
Więc tylko wspomnę, jako w chwilę potem
Niedźwiedź z gałęzi łamanych łoskotem
Wypadł na drogę Andrunia szeroką,
Jak go Wodzicki wziął szybko na oko
I strzał zmierzony jego ręką celną
Pierwszą zwierzowi dał kulę śmiertelną
I jak go potem w drugim miocie dobił
I sławą łowczą nową się ozdobił.
Wyście świadkami razem ze mną byli
Niezapomnianej w naszych dziejach chwili,
Jak niedźwiedź leżąc wznosił ryk ponury,
Jak szarpał ziemię groźnymi pazury,
Jak się to dźwigał, to znowu upadał
I patrzał w tego, który mu śmierć zadał,
Aż wreszcie czując już bliskie skonanie
I chcąc oznajmić swe z światem rozstanie,
Wydał ryk taki, że góry zadrżały
I głośnem echem mu odwtórowały,
A potem u stóp swojego zwycięzcy
Runął bezwładny — by nie powstać więcej.
Była to chwila świetna upojenia!
Jakby pod wpływem wyższego natchnienia
Łowcy w milczeniu stanęli w półkole
I mogłeś czytać na każdego czole
Radość, iż nasze ukochane knieje
W tym dniu ziściły tak świetne nadzieje.
O! za tę chwilę, za ten łup jedyny
Oddałbym setki odmiennej zwierzyny,
Choćbym miał chodzić gdzieś na krańce świata
I czekać na to długie nawet lata,
Byleby wreszcie tej rozkoszy dożyć,
Takiego zwierza swą ręką położyć,
Chociażbym za ten los szczęsny w udziele
Wiedział, że potem lat kilka nie strzelę!

OBRAZ VI.

Kanonik.

Są w świecie całym niezmienne reguły,
Co wszystkich wiążą — czy trubadur czuły,
Co na gitarze swej lubej przygrywa
I dziwacznemi ją miany przyzywa,
Czy żołnierz w czasie zaciętego boju,
Czy mędrzec siedząc w swym cichym pokoju,
Czy wreszcie starzy, czy dzieci, czy młodzi;
Każdy się na to, choćby nie chciał zgodzi,
Że jeść potrzeba — a z innej pobudki
Dobrze też czasem napić się i wódki.
Od najdawniejszych też dziejów początku
U nas w tym względzie nie było wyjątku,
Zwłaszcza że w boru, gdzie się dużo chodzi,
Zużyte siły pokrzepić się godzi
Koło południa: *canonica hora*,
Bo obiad w domu aż późno z wieczora.
Lecz że od czasu naszej szkolnej ławy
Lata minęły, że się wyszło z wprawy
Linguae latinae, więc to słowo: *hora*
Gdzieś utonęło, jak na dnie jeziora,
I tę przekąskę łowieckim językiem
Zowie Lisowczyk krótko: k a n o n i k i e m.
Jak są na świecie różne polowania,
Tak też bywają odmienne śniadania:
Czasem do lasu zjeżdżają z kotłami
I ognie palą, wtedy dym kłębami,
Jak pożar lasu, do góry wybucha,
A wiatr tem wszystkiem wprost do miotu dmucha,
Czy to dla zwierza dobry witerunek,
To gospodarza wyłączny frasunek.
Czasem gościnność znowu gospodarza
Prawdziwą ucztę wśród boru nam stwarza,
I już nieprawdą ust moich nie skażę,
Jeśli powiedzieć się tutaj odważę,
Że polowanie raz takie widziałem,
Gdzie wyjechano z całym arsenałem
Rondli i kotłów — pieczyste, potrawki,
Szkła, srebra, noże, szklanki i karafki,
Wszystko to służba częścią wiezie, niesie
I stawia sprawnie gdzieś na linii w lesie,
Ba nawet meble, różne krzesła, stołki
I stół z obrusem stawiają pachołki,
A obok kotły w ogniu ustawione
Poiły wonią lasy zadziwione!
Otóż zda mi się, po takiej libacyi
Dalej polować nie ma żadnej racyi,
Może niejeden po tym ciężkim znoju
Z fajeczką w ręku drzemnąłby w pokoju.
Kto więc na takich zepsuty przykładach,
Marzyłby u nas o równych biesiadach,
Wróciłby do dom albo się i zgniewał,
Boby nie zastał czego się spodziewał,
Bo u nas zwykle przekąska wśród lasu
Trwa tylko chwilkę, by nie tracić czasu

I towarzysze prawie mimochodem
Milcząc w pospiechu porają się z głodem,
Gdy tedy czasu tracić się nie godzi,
Więc kiedy dalej nagonka zachodzi,
Na znak wydany łowiecka gromada
Na swych krzesełkach w półkole zasiada,
Tymczasem chłopak z koszykiem nadbiega,
Lecz tu porządku już nikt nie przestrzega,
Każdy z chciwością do wnętrza zaziera
I kto najbliższy najpierwiej wybiera,
A choć łakomstwo właściwie jest grzechem,
Rad to przed sobą tłómaczy pospiechem,
By się nie spóźnić, bo też chwil nie wiele·
Śniadanie nasze dostaje w udziele.
Dobrze z tem łowcom, którzy stoją zbliska,
Lecz kto z dalszego dąży stanowiska,
Spieszy strudzony z zgłodniałemi usty,
Patrzy i widzi — czasem koszyk pusty,
I chyba wtedy, w tej krytycznej chwili,
Ktoś z towarzyszy go tylko zasili
Kawałkiem chleba i zimnego mięsa,
By miał co przegryźć, choćby kęs, pół kęsa.
Bywało dawniej, ale czas się mieni,
Że każden swoją część nosił w kieszeni,
Białym papierem czysto owiniętą;
Lecz teraz inną metodę przyjęto,
Na której ile ktoś czasem skorzysta,
To drugi traci — to rzecz oczywista.
Lecz tak kazano, trza słuchać i kwita
Roma locuta i *causa finita.*
Żadna więc powstać nie może rozterka.
Tymczasem z wódką już krąży manierka,
Ten wypił, zaraz drugiemu nalewa,
A trunek zwolna myśliwych rozgrzewa.
Mija pięć minut, a dziesięć najdłużej,
Ta zwłoka łowców już widocznie nuży,
Więc każdy radby już końca doczekać,
Skończyć przekąskę i dłużej nie zwlekać.
Wtem Mistrz powstaje, sztuciec trzyma w ręku,
Rzecze z uśmiechem, cicho, pomaleńku:
„Może Panowie by zapolowali?“
Myśliwi szybko z miejsca się porwali
I po posiłku, jakkolwiek był skromny,
Idą ochoczo, każdy tego pomny,
Że czas dla łowca głównym przyjacielem,
A w boru łowy — nie śniadanie — celem.

(Dokończenie nastąpi.)

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

ZAJĄC

PRZEZ

KAZIMIRZA REMISZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Pewniejszym zdobyczy może być myśliwy, który w mroźnej śnieżnej zimie urządzi sobie nęcisko czyli ponętę. W miejscu stosownem, nieopodal od lasu i w pobliżu jamy sypie się ziarno, kładą kaczany kapusty, wiązki pietruszki, konicz i t. d. Do tej ponęty robią się ze wszech stron ścieżki w ten sposób, że sypie się cienko siekane drobne buraki, pietruszkę, marchew z prosem i pszenicą. Skoro się zające znęcą, a nastaną mroźne, księżycowe noce, można być pewnym obfitej zdobyczy, jeżeli stan zajęcy dobry.

Jak każda rzecz, tak i polowanie na wychodnego ma swoje dobre i złe strony. Dla myśliwego, który jest zarazem lubownikiem i badaczem przyrody (a takim być powinien każdy myśliwy), leży niewypowiedziany urok w zasiadkach w lesie lub pod lasem jesienną porą, gdzie zmysłowi jego badawczemu nasuwa się tyle rozmaitych przedmiotów. Choćby nawet biedny szarak nie jawił się na strzał, to już sama emocya, którą powoduje każdy szmer, skrzeczenie sojek i srok, zapowiadających zwykle pojawianie się zwierza, sprawia mu nie małą rozkosz. Połączony jest również ten rodzaj polowania z niejedną niespodzianką, n. p. gdy zamiast oczekiwanego zajączka, zjawi się na widowni nieoczekiwany, lecz bardziej pożądany lis niecnota i kiepskiem futrem zapłaci swe łotrowstwa, warte lepszej daniny. To znów rogacz brzeszcząc czemhra parostki, dawno już oczyszczone z szypułu, bodzie krzaki, widocznie przypomina mu się niedawna ślepa, czy też prawdziwa ruja. Jednem słowem tyle rozmaitości, tyle uroku, tak znakomita sposobność badania życia i obyczajów zwierząt, że warto zaiste poświęcić czas tego rodzaju studyom i nieraz myśliwy wstrzyma się z morderczym strzałem, aby nie psuć sobie rozkoszy patrzenia. Jak zaś można trawić całe godziny w dole przy ponęcie, aby w najlepszym razie zdobyć łup, choćby i kilka zajęcy, tego pojąć nie mogę. Nie są to łowy godne prawdziwego myśliwego, lecz kucharskie raczej, przypadające snadniej charakterem swoim do gustu kłusowników.

2. Polowanie na wydeptanego (upatrzonego). Ten rodzaj polowania najczęściej się u nas praktykuje, w małych osobliwie rewirach. Zaleca się tem, że: 1. i nie tęgi strzelec przyniesie czasem zająca do domu, skoro umie upatrywać i strzela w miejscu; 2. że nie niepokoi się zbytecznie rewiru, skoro się poluje bez wyżła, lub z wyżłem dobrze ułożonym, który chybionych lub daleko pomykających zajęcy nie goni; 3. że rzadko przepada postrzelony zając, gdyż jest dość czasu dójść go za farbą, lub z psem poszukać; 4. że nie jest się zawisłym tak dalece od pogody, jak n. p. przy polowaniu z nagonką i wreszcie

5. że można polować ze skutkiem samemu, a w jesieni oprócz zajęcy polować równocześnie i na ptactwo, poświęcić temu polowaniu wolne chwile, nie oglądając się na towarzyszy.

Główną wadą tego polowania, osobliwie z uwagi na tę okoliczność, iż w ogóle więcej jest złych myśliwych niż dobrych, jest to, że ginie więcej samic niż gachów. Samica twardziej dosiaduje, łatwiej też staje się łupem. W małych rewirach, albo też wynajętych przez miejskich amatorów, urzędników, oficerów i t. d., którychbym nazwał pod względem myśliwstwa „*dii minorum gentium*", jest ten rodzaj polowania najbardziej ulubionym, gdyż najbardziej prawdopodobną zdaje się zdobycz, bez kosztów naganki i mnóstwa pudeł. Myśliwy, który raz na tydzień bierze strzelbę do ręki, nie może nabyć wprawy i cieszy się, jeśli może zabić zająca w kotlinie, a w najgorszym razie bodaj przygotuje się do strzału, zanim kopyra pomknie. Ponieważ niestety najczęściej samica pada ofiarą tego rodzaju łowów, więc w polowaniu na upatrzonego szukać należy przyczyny, dlaczego rewiry wynajmywane od gmin w pobliżu miast, takim świetnym cieszą się zwierzostanem.

Do polowania na wydeptanego potrzebną jest dokładna znajomość przyrody zająca, aby wiedzieć, gdzie go szukać w rozmaitych porach roku, podczas wiatru, pogody lub niepogody. W późnej jesieni, gdy wieją ostre, dojmujące wiatry, szukać należy zająca w miejscach zacisznych, zasłoniętych od wiatru, a więc komeszowatych, tak zwanych kosmatych miedzach, w głębokich podorach, na zboczach za wiatrem, w krzakach, jamach, po kamieniołomach i gliniskach i t. d. Stosuje się to do miejscowości bezleśnych, gdyż gdzie są lasy, tam zając w takiej porze przesiaduje w lesie. Podczas zmiennej pogody, osobliwie w przededniu burzy, lub podczas silnego wichru, zdradzają zające niepokój i daleko pomykają przed strzelcem. Nie opłaci się wtedy buszować po polach. Tak samo ma się rzecz, gdy ziemia jest do tego stopnia zamarzniętą, że zając nie zdoła wygrzebać świeżej kotliny, albo też gdy śnieg pod nogami chrupie. Podczas odwilży, albo pogody ciepłej bezwietrznej, siedzi zając najchętniej na otwartych, płaskich polach, osobliwie w pokładach, gdy ziemia sucha. Gdy deszcz pada, woli ścierniska lub szuka suchych miejsc w pojedynczych krzewach, rowach, kamieniołomach, starych zaniechanych drogach, zboczach i t. d. — lub nalotach i płazowinach leśnych. Najchętniej jednak przesiaduje w oziminach, gdy nawóz niedokładnie został przeorany i mierzwa między skibami na powierzchni leży, albo pod kupami nierozrzuconego nawozu.

Tak jak pogoda, wpływa także i księżyc na to, czy zając twardziej lub wolniej dosiaduje. Podczas ubywania księżyca dotrzymuje zając daleko lepiej, niż podczas przybywania, t. j. od nowiu do pełni. Prawie w każdym miesiącu gdzieindziej zając przesiaduje. I tak: we Wrześniu przebywa chętnie w ścierniskach, otawach, więcej ku zachodowi, podczas słoty w jałowcach i krzakach; w Październiku: w burakach, kartoflach, kukurudzach, kapustach, tytoniach, koniczach i t. p.; w Listopadzie: na rolach, w kępinach suchych, w starych trawach, jarach i t. d.; w Grudniu tak jak w Listopadzie chętniej wybiera oziminy, gdzie w śniegu grzebie głębokie kotliny; w Styczniu tak jak w Grudniu w ogóle w miejscach zacisznych, ciepłych, ku słońcu, n. p. w wierzchowinach stawów, t. j. w trzcinach, w kupach nawozu; podczas zawiei blisko sadu i gumien.

Polowanie na wydeptanego nie ogranicza się na pole tylko, ale może się odbywać i w lesie, w młodych nalotach, kulturach, brzegach zarośli i w grubym, rzadkim, niepokrytym zbyt gęsto lesie. Poluje się z wyżłem lub bez psa. Pierwszy rodzaj polowania praktykuje się od jesieni do śniegu, drugi zaś na śniegu aż do końca sezonu. Pies jest pożyteczny tak długo, dopóki zając w ziemiopłodach, trawach i t. p. jest ukryty, a pies dopiero musi go wyszukać i wystawić. Później zaś, na gołem polu, pies tylko zawadza, chyba że ma służyć tylko jako aporter i za nogą myśliwego postępuje, może być na polowanie branym i to pies dobry, nie zrywający się ani za pomykającym zającem, ani też po strzale.

Każdy rasowy wyżeł chętnie bardzo wystawia zająca z natury, ale nie mała to rzecz dokonać tego, aby pies zająca nie gonił, osobliwie gdy się pies cokolwiek od myśliwego oddali, a zając przed nim pomknie. Cnoty tej nabywają psy starsze, skoro cokolwiek ociężeją; młodego bardzo trudno utrzymać na wodzy, osobliwie pointera. W rewirach bogatych w zające, gdzie w jednym dniu spotyka się kilkanaście lub kilkadziesiąt zajęcy, podczas polowań na ptactwo, można psa utemperować, czyli zrobić go, jak Niemcy mówią: „*hasenrein*". Bicie nielitościwe, targanie za uszy i t. p. drakońskie środki nic tu nie pomogą, jedynym środkiem jest z zasady nie strzelać zajęcy, za którymi pies się zerwał, nie strzelać również przed młodym psem w pierwszem polu wcale, w drugiem zaś polu podczas polowania na ptactwo. Jedynym środkiem, prowadzącym do celu, jest postępowanie oględne, że się tak wyrażę, takt i konsekwencya. Myśliwy niech zawsze pamięta, że nie chodzi mu na razie o strzał do zająca, ale o dresowanie psa, dla tego nie powinien nigdy strzelać do zająca, za którym pies się porwał. Jeżeli takt w postępowaniu z ludźmi tak bardzo popłaca, o ileż bardziej jest on potrzebny wobec zwierząt, które przecież inteligencyą człowiekowi nie dorównują. Skoro pies nie może czegoś pojąć, to wina leży zawsze po stronie dresującego, który nie dość jasno wyraża swoje myśli, jeśli się wolno tak wyrazić. Potrzebną jest również cierpliwość bezgraniczna (pies nie powinien bać się bezmiernie swego nauczyciela), obok surowości, żaden błąd świadomie popełniony nie powinien ujść psu bez kary; nawet najlepsze psy psują się, skoro się im raz jeden tylko pobłażyło. Oto są reguły, o których dresujący psa nigdy nie powinien zapominać.

Przystępujemy teraz do rzeczy, t. j. do nauczenia psa powściągliwości, by nie gonił zajęcy. Młody pies w pierwszem polu powinien chodzić na koralach. Skoro wystawi zająca, skróca myśliwy linewkę i głaszcze psa, wypłaszając zająca. Często się trafia, że pies w tej chwili bardziej się przestraszy niż biedny kopyra, ogniste jednak psy zrywają się do pościgu. Wtedy myśliwy niechaj szarpnie dość silnie linewkę i woła głośno: „nazad". Tak postępować potrzeba przez cały sezon. Jeżeli jednak pies z natury miękki i bardzo pojętny, można w późnej jesieni strzelać przed takim psem zające, ale zawsze w miejscu. W tym celu przystępuje myśliwy nogą silnie linewkę i ubija zająca strzałem w głowę, następnie nabija strzelbę i pozwala po chwili zająca przyaportować. W ten sposób przyjdzie pies do przekonania, że wtedy tylko przyjemność aportowania stanie się dla niego dostępną, gdy spokojnie zająca

wystawi. Polując w ten sposób przez jeden sezon, można w następnym po ubiciu kilku zajęcy w miejscu, strzelać i do pomykających, trzymając jednak zawsze psa na linewce. Dopiero gdy się spostrzeże, że pies jest całkiem spokojny i po strzale się nie zrywa, można linewkę puścić wolno, potem i bez linewki psu dozwolić szukać. Gdyby jednak pies popełnił później jaki błąd, należy natychmiast na jakiś czas linewkę i korale mu założyć napowrót. Do zajęcy, których pies nie wystawił, nie strzela się nigdy przed młodym psem. W ten sposób najłatwiej psa do zajęcy ułożyć, chociaż i ta metoda, jakkolwiek długa i żmudna, bez rezultatu pozostanie w okolicach ubogich w zające.

Polując z wyżłem na zające, potrzeba go krótko trzymać, tem króciej, im dalej zające pomykają. W krzakach, w ogóle miejscach zarosłych, używać można psa już wytrawnego; młody zepsuje się zaraz w pierwszem polowaniu. Postrzelonego zająca dochodzi się z młodym psem tylko na linewce, na aportującego zaś psa uważać należy, aby długo nie marudził, nie skubał turzycy, lecz od razu brał zająca i do myśliwego odnosił. Przytem nie należy nigdy iść naprzeciw psa, lecz nauczyć go, aby aż do myśliwego donosił. Przedewszystkiem zaś wystrzegać się należy, aby posyłać psa zaraz po strzale za zającem, który nie jest dobrze postrzelony, gdyż zachodzi obawa, że taki zając ze strachu przed ścigającym psem ostatnich sił dobędzie i umknie, jeżeli pies nie bardzo ścigły.

W jesieni używa się na zające śrótu Nr. 4, później gdy turzyca gęściejsza Nr. 2.

Po tym wstępie przystąpmy do polowania samego. Pogodne dnie bezwietrzne są najstosowniejsze. Jak długo rosa pada, nie można zacząć polowania prędzej, aż rosa obeschnie, gdyż nawet najlepszy pies bodaj chwilami nos nisko nosi i traci wiatr, maczając trąbę w rosie. Przedpołudniowe godziny są najprzyjemniejsze, gdyby zaś polowanie i na popołudniowe się rozciągało, to musi być około 4tej lub 5tej ukończone, gdyż o tych godzinach, w najdogodniejszej nawet porze, już za daleko pomykają. Najlepiej zające dosiadują od 10tej rano do 3ciej popołudniu. Jeżeliby się myśliwy przekonał, że mimo stosownej pory, nawet z krytych miejsc, n. p. z gęstej trawy, kartofli i t. p. zające daleko pomykają, najlepiej zrobi, zaniechając dalszego polowania, gdyż ten niepokój jest przepowiednią niepogody, t. j. ulewnych deszczów, burzy lub pierwszego śniegu, a ta nigdy nie zawodzi. Buszowanie zawsze trzeba zaczynać pod wiatr, a od pory i psa, względnie zaś od dresury jego zależy, czy tenże ma blisko lub daleko szukać. Im twardziej dosiadują zające, im pies ma lepszy nos i dresurę, tem dalej można go puszczać, bez obawy, że ruszy czyli spłoszy zająca; im zaś pies mniej pewny, lub teren bardziej zarosły nie pozwala w każdej chwili myśliwemu mieć psa na oku, tem bliżej potrzeba psa trzymać koło siebie. Gdy pies zacznie ściągać, co się poznaje łatwo po żywszych poruszeniach ogona, przygotowuje się myśliwy do strzału i upomina psa przeciągłem wołaniem „waruj — lekko“, gdy zaś pies stanie, t. j. wystawi, potrzeba zająca z kotliny wypłoszyć, lub przed młodym psem ubić w miejscu. Po strzale pies nie powinien się ruszyć z miejsca, lecz dopiero po nabiciu strzelby i na rozkaz myśliwego przyaportować zająca ubitego. Wszystko to są rzeczy oklepane, nad któremi nie warto się rozwodzić. Natomiast ciekawe bardzo podaję uwagi co do strzelania według Alvenslebena *„zum Flintenschuss“*. Strzelców prawdziwie dobrych nie tak łatwo się spotyka, większość nie zna sztuki „zakładania“ dodalej biegnącego zwierza i ztąd częste pudła, bo zwierz ze strzału wyskakuje. Alvensleben pisze w tej mierze: „Ważną jest rzeczą prowadzenie zwierza na celu, a względnie zakładanie *(vorhalten)* podczas prowadzenia. Kto strzela do szybko pomykającego zająca, nie wiedząc i nie czując, że celując, ma się i lufą poruszać w miarę ruchu zwierzęcia tak, aby zając był zawsze na celu, tego strzał z reguły pada za zwierzem. Strzał potrzebuje pewnego czasu do przebieżenia drogi od strzelca do celu, a zwierz biegnąc oddala się coraz bardziej, dwa więc tu działają czynniki w jednym kierunku. Przyjmijmy najłatwiejszy wypadek: na równem polu ma być ubity biegnący zając na połeć. Do 40 kroków mierzy się w głowę, na 50 kroków zakłada się przed zająca na szerokość piędzi, prowadząc go jednocześnie na lufie, na 70 kroków na stopę przed głową, na 80 — 90 kroków na długość zająca przed głową, jeżeli się chce razić zająca w głowę i komorę. Kto tylko mechanicznie mierzy, t. j. lewej ręki nie posuwa za zwierzem, podczas gdy prawa cyngiel ściąga, ten w miarę wielkości błędu albo chybi, albo trafi zająca w tył. Strzelcy, którzy na bliską metę mierzą w pół zająca i prowadzą go na celu, trafiają prawie zawsze w słabizny i tylne skoki. Z reguły potrzeba się starać centrum strzału, t. j. środek stożka śrótowego rzucić na przód zająca, gdzie się znajdują wszystkie ważne organa, których zranienie powoduje śmierć na miejscu. Wszyscy ci uznani strzelcy, którym zające z dymem rulują, zakładają zawsze przed zwierza. Jeżeli myśliwy uzbrojony w strzelbę systemu Dreysego lub Lancastra chce ubić w kociołku zająca na 100 kroków, a używa tłuszczonych przybitek lub kartonów (śrót w siatce drucianej), musi lufy trzymać w wysokości grzbietu zająca i zakładać stosownie do szybkości biegu na jedną lub dwie długości zająca. Skoro tenże dostanie parę śrótów, nie należy się ociągać z drugim strzałem, jeżeli tego zachodzi potrzeba. W dzisiejszych czasach można słusznie od każdej dobrej strzelby wymagać, aby ubijała zająca na miejscu w odległości 50 kroków, bez względu czy tenże na sztych lub na połeć jest strzelany. Strzał na sztych nie jest wcale trudny, jeżeli się zważy, że zakładanie jest tu możliwe przez mierzenie pod zająca, między przednie skoki. Jeżeli się to dobrze wykona, wpadnie zając w środek strzału i trafiony w głowę i grzbiet, ruluje ku myśliwemu. I przy tym strzale nie może lewa ręka spoczywać nieruchomie, lecz zniżać się winna w miarę przybliżania się zająca, gdyż inaczej strzał będzie zgórowany. Taki strzał na sztych zdarza się najczęściej na nagonce i zasiadkach.

Na buszowanem, t. j. na wydeptanego, strzela się zające najczęściej ukośnie z tyłu, a pudła się zdarzające, są to strzały zdołowane. W tych warunkach strzelając, potrzeba zawsze mierzyć w głowę, na dalszą zaś metę lufami cel nakryć, czyli innemi słowy, trzymać muszkę cokolwiek wyżej. Jeżeli w chwili strzału zatrzyma się lewa ręka podnosząca lufy, trafiają śróty już tylko tylne skoki. Dobra strzelba ubija zająca uciekającego od myśliwego o 50 kroków z dymem, na 60 kroków pada zając po krótkiej ucieczce, na 80 kroków po strzale z obu luf. Trafny strzał na jeszcze dalszą metę jest rzeczą wypadku, o ile śróty dosięgną szlachetnych organów.

Wypada nam teraz omówić półkierunki, t. j. kulawy sztych i ukośnie za zwierzem. W pierwszym wypadku uwzględnić należy zbaczanie zwierza i zbliżanie się jego.

Z każdym krokiem zwierz zmienia kierunek biegu względnie do myśliwego i zbliża się jednocześnie, jest to więc niejako kombinacya ruchu na połeć i na sztych, a więc i w strzale reguły dla obu tych strzałów zespolić wypada, t. j. zakładać przed zwierza i mierzyć niżej. Komu trudno strzelać na kulawy sztych, niech zwierza przepuści, a będzie miał strzał albo na połeć, albo gdyby tenże z powodu stojących obok myśliwych i t. p. nie był możliwy, strzał ukośnie za zwierzem. Ten strzał jest łatwym, gdyż względnie mało potrzeba zakładać, a cały bok i 3 skoki są dla śrótu dostępne, nie należy jednak zapominać mierzyć cokolwiek wyżej. „*Berg auf — halt drauf*, *Berg unter — halt drunter* (do góry mierz wyżej, z góry mierz niżej), przysłowie to cechuje wyraźnie, jak mierzyć na stokach, górach i t. p. Tak zwane zczesanie śrótem *(kämmen)* zdarza się, jeżeli strzał pójdzie dołem lub górą i wyrywa turzycę, nie czyniąc szkody innej zwierzynie. Na bliską odległość są one bezskuteczne, na dalszą jednak nie dadzą się dokładnie zdefiniować, bo gdy kilka śrótów z grzbietu n. p. zedrze tylko turzycę, mogą inne trafić w komorę i słabizny.

Są także i tacy strzelcy, którzy zamiast prowadzić zwierza na celu, kierują lufy przed zwierza i strzelają w stosownej chwili; tej metody jednak zalecać mi nie można. Strzały takie łapane *(Fangschüsse)* zdarzają się najczęściej w terenie nierównym, w gąszczu i t. d. Osobliwie w gąszczu ostrożnie potrzeba strzelać, gdyż wiele strzałów gubi się i osłabia na gałązkach i t. d., skutkiem czego wiele się zwierzyny chybia, a więcej jeszcze kaleczy. Niejeden zając strzelany na polu na jakie 90 kroków, pada po przebieżeniu kilkuset kroków. W lesie tego obserwować nie można, dobrym więc jest tylko ten strzał, który powinien zwierza ubić na miejscu, każdy inny strzał jest hazardem i nie myśliwskim". Jeżeli się poluje bez psa, powinien myśliwy pamiętać o tem. że w porze, gdy zając twardo dosiaduje, pomyka on nie przed, lecz za myśliwym, potrzeba więc zawsze patrzeć przez ramię poza siebie na prawo i lewo. Stosuje się to szczególnie na rolach i kartoflach, w których chodzi się zawsze w poprzek bruzd.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W sprawie wykonywania prawa polowania.

Patent cesarski o polowaniu z dnia 7. marca 1849 (dz. ust. p. N. 154) zniósł prawo polowania na obcym gruncie. Prawo to służy odtąd tylko właścicielowi gruntu. Wykonywanie tego prawa jednak jest dozwolonem według §. 5. powyższego patentu tylko posiadaczowi gruntu w nieprzerwanej przestrzeni najmniej 200 morgów. Polowanie na wszystkich innych gruntach, w granicach gminy położonych, należy do tejże gminy. Gmina jest obowiązana należące do niej polowanie niepodzielnie wydzierzawić, albo go używać przez umyślnie ustanowionych i uzdolnionych myśliwych. Czysty dochód z polowania gminnego rozdziela się przy końcu każdego roku administracyjnego lub dzierżawnego między posiadaczy gruntów stosownie do tychże rozległości. Polowanie bowiem jako wypływ własności gruntowej, nie jest własnością gminy jako takiej, lecz należy do pojedyńczych właściceli gruntowych. Ustawa o polowaniu znosząc prawo polowania na obcym gruncie, nie mogła zezwolić wykonywania tegoż prawa mniejszym obszarom, wychodzi ona zresztą z całkiem słusznego założenia, że polowanie na obszarach mniejszych w sposób korzystny dla chowu zwierzyny, wykonywanem być nie może. Na obszarze nieprzerwanym 200 morgów właściciel, na mniejszych zaś gmina ma wykonywać prawo polowania.

Jeżeli kto nabył przestrzeń wynoszącą 200 morgów gruntu, na której przed nabyciem przez niego prawo polowania wykonywane było przez dzierżawcę polowania gminnego, stał się przez to samo uprawnionym do samoistnego wykonywania na nim prawa polowania. Otóż jeżeli taka zmiana zaszła w ciągu trwania dzierżawy takiego gminnego polowania, powstawały spory między nabywcami gruntów, gminą, a dzierżawcami polowania. Dzierżawcy żądali, by grunta te, stanowiące przedmiot dzierżawy, mimo zmienionych stosunków terytorjalnych zostały przy dzierżawie aż do jej exspiracyi, nowo nabywający właściciele żądali, by wykonanie samoistnego prawa polowania zostało im natychmiast dozwolonem.

Spory te zozstrzygały kompetentne władze administracyjne, starostwo, namiestnictwo, ministerstwo rolnictwa, a względnie ministerstwo spraw wewnętrznych na korzyść dzierzawców, wychodząc z zapatrywania, iż gmina wydzierżawia polowanie w zastępstwie uprawnionych posiadaczy, przeto tenże jest związany kontraktem, a to na przeciąg czasu zawartej umowy. Trybunał administracyjny zaś orzekł, że z objęciem przestrzeni gruntów 200 morgów nowy nabywca uzyskał także samodzielne prawo na tych gruntach, a to bez względu, na jaki czas przedtem przez gminę prawo polowania na wszystkich gruntach wydzierżawionem było, albowiem wedlug cesarskiego patentu z 7. marca 1849 prawo polowania jest wypływem własności gruntu, o tyle tylko ograniczonem, że właściciel mniejszego kompleksu niż 200 morgów, prawa tego sam wykonywać nie może, ale przez dzierżawcę polowania na gminnych gruntach.

Orzeczenie to Trybunału administracyjnego musi w dalszej konsekwencyi doprowadzić do coraz większego zdeprecjonowania gminnych polowań Wobec dość częstych wypadków zmiany w stosunkach posiadania, dzierżawca musi być w każdej chwili na możliwe zmniejszenie przedmiotu dzierżawnego przygotowany. Dalsze spory tyczą się zwrotu czynszu dzierżawnego już uiszczonego i wysokości tegoż zwrotu, zwłaszcza, że grunt wydzielony stanowić może najcenniejszy przedmiot dzierżawy.

Ocenienie prawne tego orzeczenia nie tu należy, wykazaliśmy zgubne skutki tego orzeczenia dla łowiectwa w ogóle. Tu tylko przytoczyć należy, iż za orzeczeniem Trybunału administracyjnego przemawia tylko okoliczność, że przy zawieraniu umów o dzierżawę z bardzo długim terminem, bo na 20—30 lat, jak to się już wydarzało, nabywca obszaru 200 morgów przez długi szereg lat mógłby być pozbawionym prawa polowania. Obowiązujące ustawy łowieckie nie oznaczają czasu maxymalnego, do którego umowy dzierżawne o polowania gminne mają być zawierane, lecz stanowią tylko minimalny 3-letni i normalny pięcioletni okres.

Braki te usuwa projekt do ustawy, wniesiony przez Rząd, a przez Sejm na obecnej sesyi uchwalony. Z uwzględnieniem rozpraw i uchwał odbytego w r. 1885 w Wiedniu austryackiego konkresu, przyjęto w §. 1 uchwalonego projektu 10 lat, jako okres normalny (dawniej 5 lat), a 5 lat jako okres minimalny (dawniej 3 lata); a maxymalny okres dla umów o dzierżawę polowania 14 lat. Odnowienie umowy dzierżawnej bez licytacyi dozwolone jest tylko w ostatnim roku istniejącej dzierżawy i to nie dłużej jak na nowych lat 10, wyjątkowo 14.

§. 2. rzeczonej ustawy stanowi: Jeżeli w ciągu trwania umowy dzierżawnej o polowanie gminne, parcele gruntowe, do terytoryum dzierżawy należące, przez zmianę właściciel wcielone zostaną w obszar nieprzerwanej przestrzeni najmniej 15 hektarów, którego właściciel przez to staje się uprawnionym do wykonywania na nich samoistnie prawa polowania, na ten czas powstające świeżo na tych parcelach prawo samoistnego polowania dla ich właściciela wchodzi w życie dopiero po exspiracyi istniejącej dzierżawy polowania gminnego.

Jeżeli zaś przeciwnie w ciągu trwania dzierżawy polowania gminnego mniejsze parcele gruntowe w skutek odprzedaży z obszaru 115 lub więcej hektarów jednolitej przestrzeni, na którym dotychczasowy właściciel samoistnie prawo polowania wykonywał, przyłączone zostaną do terytoryum polowania gminnego, natenczas przyznaje się dzierżawcy prawo wykonywania polowania także na tych świeżo przyłączonych parcelach aż do exspiracyi istniejącej umowy dzierżawnej bezpłatnie, jeżeli ogólna przestrzeń przyłączonych parcel 115 hektarów nie dochodzi. Przy przestrzeni zas 115 lub więcej hektarów winna być bezzwłocznie rozpisaną dodatkowa licytacya dla wydzierżawienia polowania na tych świeżo przyłączonych na czas aż do exspiracyi dzierżawy dotychczasowego polowania gminnego, a to z wyraźnem zastrzeżeniem pierwszeństwa dla dzierżawcy dotychczasowego polowania gminnego.

O dniu wejścia w życie niniejszej ustawy nie omieszkamy zawiadomić szanownych czytelników.

Sejm uznając zmiany, jakie zaszły w stosunkach gospodarstwa łowieckiego w kraju naszym od czasu ogłoszenia najwyższych patentów z r. 1786 i 1849, powziął też uchwałę, wzywającą Wydział krajowy, by po dokładnem zbadaniu stosunków i potrzeb gospodarstwa łowieckiego, poddał rewizyi obowiązujące obecnie dotyczące ustawy i przedłożył odpowiednie wnioski w najbliższej sesyi sejmowej.

(„Sylwan“). *Dr. Edmund Burzyński.*

Kilka słów o myśliwstwie dawnem i teraźniejszem.

Przez

Alexandra Ubysza.

(Ciąg dalszy).

Drugiej połowie myśliwych, którzy podążyli za częścią stada jeleni, nie powiodły się łowy, późno w nocy ściągali się oni z różnych stron boru do łowieckiego obozu. Powrócili z „próżnymi trokami“, nie było tam bowiem dojeżdżacza i żadnej zranionej sztuki. Nader to trudno sforsować jelenia do tego stopnia, iżby się aż rozparł, dzielnych trzeba ogarów, by sforsowały szpiczaka lub chłysta, a cóż dopiero pysznego rogala. Jeżeli w czasie pogoni po napiciu się wody lub kąpieli nie ochwaci się, lub jak rusini mówią, nie „zastudytsia“ i członki mu nie stężeją, to długo on wodzi psy po najdalszych i najdzikszych ostępach. Dobry i wytrwały dojeżdżacz dąży za psami lub zwierzowi na przełaj. Jeśli mają się odbyć łowy w kniejach, których on nie zna, to na kilka dni przed ich rozpoczęciem tłucze się jak Marek po piekle w lesie, znając dokładnie obyczaje zwierząt, śledzi ich ruchy, ostoję i przesmyki.

Każdy wytrawny dojeżdżacz był oraz lekarzem zwierząt i znachorem, od nich to zapewne rozszerzyły się owe najdziwaczniejsze twierdzenia o przyrodzie i jej tworach, zabobony i uprzedzenia, które nie tylko pozostały w tradycyi, ale nawet przeszły do naukowej wiedzy. Dojeżdżaczów używano jedynie w kniejach nizinnych, w górskich odbywały się łowy w odmienny sposób.

Podobnie polowano i na inną grubą zwierzynę. Tur czyli wół dziki znajdował się niegdyś w całej niemal Polsce, mianowicie w puszczach leśnych, jak Niepołomicka, Jaktorowska, Kampinoska i inne, o czem świadczą nazwy miejscowości: Turzepole, Turzańsk, Turze, Turów, Turzawola i wiele innych. Obecnie zupełnie już wyginęły; już w 16 w. nie było ich prawie w puszczach Jaktorowskiej i Niepołomickiej, w których prawo polowania przysłużało tylko królom. Na tura i jelenia nie wolno było szlachcicowi polować pod karą grzywny lub wieży, nieszlachcicowi pod karą cielesną; zwano je też zwierzyną królewską. W którym wieku tury w Polsce do szczętu wyginęły, trudno orzec. Że żubr i tur stanowią dwa osobne gatunki, jest rzeczą pewną, mimo zaprzeczenia z wielu stron, nazwy ich jednak mięszały się z sobą.

Jelenie znajdują się u nas tylko w górach karpackich, zwanych Beskidami lub Bieszczadami, Tatry ich wcale nie mają. Dawniej były one w całej niemal Polsce, prócz moczarnej Pińszczyzny. Ostatnich siedm jeleni ubito w puszczy Niepołomickiej z końcem ubiegłego stulecia. Polowanie na żubra i tura groźniejszem było jak na niedźwiedzia i dzika. W młodych moich latach zdarzyło mi się czytać książkę, czyli raczej niedogryzki mysie, więc bez tytułu, gockim odbitą drukiem. W niej znalazłem taki ustęp: „Ruszyli wołu, niektórzy myśliwcy króla JMCi nie bacząc wzdy poczęli gonić potworu, ano daremnego trudu zażyli, dwóch szwanku zaznawszy, zwierza nie dostali“. Dalej opisuje, jako jednego z myśliwych wół dziki zabił, a koniowi jego jelita wypuścił, drugiemu spłoszony koń rozbił się o drzewo. Zwierz rozjuszony z utkwionym w boku grotem długo uganiał po kniejach, zanim go borowi i obławnicy drągami i rohatynami dobili. Zdaje się, że była ta książka

pamiętnikiem czy dyaryuszem, bo w zacytowanym ustępie u góry była data *die 20. Septembris*.

Przed zastosowaniem broni palnej do łowiectwa, gdy używano tylko dziryta, berdysza, halabardy i łuku, musiało spotkanie z takim zwierzem jak tur być niezmiernie niebezpiecznem, zwłaszcza iż był niesłychanie dzikim i srogim. Nie czytałem żadnego opisu łowów na tura, skreślić więc ich nie mogę, przypuszczam wszakże, iż musiano go naprzód ogarami forsować, a następnie z konia lub pieszo razić bronią. Piesi zapewne tak się z turem potykali, jak hiszpańscy toreadorowie z katalońskim bykiem, ubijając go jednem silnem cięciem miecza w kark, gdy ze spuszczoną głową rzuca się na szermierza, a cios to musi być niechybny i śmiertelny, w przeciwnym bowiem razie toreador na rogach wściekłego byka wylatuje w powietrze i śmiercią jego kończą się krwawe zapasy. Elektor saski, później król polski August II., sławny swoją olbrzymią siłą, zadziwiał hiszpanów ubijaniem byków na igrzyskach, wyprawianych w mieście Sewilli. Młodzieńcem będąc, zwidzając Hiszpanię, brał udział w walce z bykami. Gdy jeden z byków katalońskich ubiwszy dwóch toreadorów wściekle uganiał po arenie, pastwiąc się nad swemi ofiarami i wzywając nowych zapaśników, August wstąpiwszy w szranki jednem cięciem oddzielił głowę byka od tułowiu. Tak również Samuel Zborowski w obec kozaków zaporoskich odcinał głowy koni jednem cięciem, za co okrzyknięto go assaułą, a później hetmanem. Tak też piesi zapaśnicy zadawali cios śmiertelny turowi w kark.

Pchnięcie choćby głębokie i inne cięcia nie sprowadzały błyskawicznej śmierci i narażały łowca na srogie niebezpieczeństwo, a zwierz uchodził i nie rychło ginął. W ogóle łowy z bronią białą były trudne i niebezpieczne. Zajmowano stanowiska w ostępach, w których zwierz był otropiony, wpuszczano ogary, które zwierza ruszały, a na kogo wyszedł, ten ruszał za nim, ruszali i inni myśliwi „wespół ze psy“, jak mawiano, a z dojeżdżaczem forsując zwierza, upatrywali stosownej chwili rzucenia nań dziryta, lub w razie osaczenia potykania się z mieczem, albo berdyszem. Trwała szalona gonitwa po lesie, po parowach i moczarach, wszyscy pędzili za zwierzem, bo ogary nie nawrócą tura, jelenia, łosia, a nawet dzika i jelenia, tak jak drobną zwierzynę, zwierz je wodzi po najdalszych kniejach, dopóki wysilony nie da się osadzić, wtedy myśliwy musi być w pobliżu i ma pole popisu. Tury i niedźwiedzie nie żyją gromadnie, bo samice ich po czasie rui porzucają samców i samotnie, później zaś ze swym płodem przebywają w borze.

Sieci używano w Polsce wieków średnich nader rzadko. Pierwszy Zygmunt August sprowadził je z Niemiec; Stefan Batory, namiętny myśliwy, rozpowszechnił używanie i sporządzanie ich. Odtąd wyrabiano je w kraju. Wynalazek sieci łowieckich Niemcy sobie przypisują, wiadomo jednak, że pierwsi używali ich Francuzi, mianowicie udzielni książęta burgundzcy. Francya w wiekach średnich i później co do łowiectwa przodowała całej Europie. Francuski sposób urządzania łowów, szczególnie dworskich czyli królewskich, przyjęto we Włoszech, w Niemczech, a nawet w łowieckiej Szkocyi i Polsce i we wstrętnej do wszelkiego naśladownictwa Anglii. Sieci były nader kosztowne, szczególnie w początkach, gdy je z obcych sprawadzano krajów. Sieci wymagały odpowiedniej ilości wozów do ich przewiezienia, ludzi do stawiania i pilnowania, żeby gruby zwierz się przez nie nie przebił. W miarę zwierza stawiano przy sieciach gęściej lub rzadziej ludzi, tak zwanych „kluczowych“, stawiano ich bowiem w miejscach, gdzie się łączyły poły (ściany, przasma) kilkusążniowej długości, a cztery do sześciołokciowej wysokości. Takie miejsca styczne zwano kluczem. Kluczowych nie tylko było obowiązkiem pilnować, iżby się grubszy zwierz przez sieć nie przedarł, żadna bowiem nie zdołałaby oprzeć się naporowi takiego zwierza jak tur, niedźwiedź, jeleń, wreszcie dzik, powinni oni byli głosem, jako też proporcami odstraszać zwierzynę od sieci. Gdy mniejszy zwierz uwikłał się w siecie, ubijali go. Rodzajów sieci bywało wiele, niemal do każdego gatunku zwierza. Odmianę w sieciach stanowiły wielkość ok, grubość sznurów, które były pojedyncze, podwójne, a czasem potrójne. Pojedynczemi zwano te, których oka prawie $^3/_4$ łokcia miały światła, że zaś zwierz, zwłaszcza dzik, łatwo się przez nie przedzierał, mało ich używano. Rozpinano je na sosnowych lub jodłowych kołkach, lekkich, więc łatwych do przewiezienia w odstępach kilkułokciowych. Kołki te podwójne miały przeznaczenie: zwijano na nie sieci i rozstawiano je. Podwójna składała się z pierwszej wielkoocznej i z drugiej drobnoocznej z cienkich sznurków. Przy rozstawieniu była pierwsza wyprężona, druga zaś (pokrywa) obwisła, tworzyła labirynt pętli i zadzierzgów, w których zwierz się tem bardziej wikłał, im bardziej wydobyć się usiłował. Służyła ta sieć na grubszą zwierzynę, nie wyjmując sarny. Potrójnej sieci jak pojedynczej rzadko używano. Opisaną podwójną sieć pokrywano w dwu lub trzycalowych odstępach w całej wysokości sieci cienkim, zwolna zwisającym szpagatem, co snowidłem lub plątem nazywano. Dobre były sieci, szczególnie na lisa i zająca, ponieważ jednak prawdziwi myśliwi nie radzi polować na tak podłą zwierzynę, przeto nie używali tej sieci zwłaszcza, że z rozplątywaniem jej nie mało było trudu i straty czasu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

21. Lutego.

Z myśliwskiej teraźniejszości Wołynia. W każdym numerze „Łowca“ czytam tyle doniesień o ślicznych polowaniach, odbywanych w Galicyi, że mnie staremu myśliwemu ślinka do gęby podchodzi. Czemuż nie może być tak u nas na Wołyniu, gdzie jeszcze przed 30 laty imponowaliśmy Galicyanom liczbą ubitych sztuk grubego zwierza: dzików, łosi, wilków, kozłów, a nierzadko i niedźwiedzi na Wołyńskiem Polesiu. Wtedy zjeżdżano się do nas na polowania, bo też rzeczywiście było się czem przed gośćmi pochwalić. Dziś wstydzimy się poprostu za nasze knieje, w których nieraz szaraka z upragnieniem wyglądamy, gdy wy w Galicyi liczycie na każdej nagance kozły na dziesiątki, a zające na setki, jak widzę ze sprawozdań waszych korespondentów. Któż temu winien? Od-

powiedzmy szczerze. Winni sami właściciele dóbr, że nie dość pilnie strzegą zwierzostanu w swych lasach, lecz o wiele winniejszy sam ustrój władz administracyjno-politycznych, który po prostu uniemożebnia ścisły dozór w lasach właścicieli prywatnych. Dziś u nas pomiędzy włościanami kto w Boga wierzy posiada lada jaką rusznicę, którą tępi wszystko, co, gdzie i kiedy mu się nawinie, nie uwzględniając nawet wiosny od Marca do Lipca, co jest srogo wzbronione prawem. Chociaż nie mamy ustawy łowieckiej, Towarzystwa łowieckiego i jego Wydziału, opiekującego się tą ustawą, nie myślcie jednak, że nie ma tu praw ochronnych dla myśliwstwa, i tak od 1. Marca do 29. Czerwca, t. j. do św. Piotra i Pawła, bezwzględnie nie wolno polować nikomu na żaden rodzaj zwierzyny, a prawo polowania na własnych gruntach lub lasach przyznane tylko temu, kto jest właścicielem obszaru nie mniejszego jak 100 dziesięcin kwadratowych (182 morgów 306 sążni kwadr.) Więc prawo polowania przyznane jest właścicielowi większych posiadłości, równie jak i gminom włościańskim, jeżeli z owego prawa kollektywnie zechcą korzystać, t. j. poddzierżawiać jednemu z swych członków, lub osobie postronnej. Całem nieszczęściem naszem, tak w tej jak i w wielu innych ważniejszych kwestyach, jest to, że prawa się u nas piszą, ale nikt nie strzeże ich ścisłego wykonywania. Tak się też dzieje pod względem prawa myśliwskiego. Każdy włościanin na tej zasadzie że jest właścicielem kilku morgów gruntu, czuje się uprawnionym do tępienia zwierzyny wszelkimi możliwymi środkami, gdzie ona mu się tylko nawinie, a władze gminne lub powiatowe wcale temu nie przeszkadzają, owszem tolerują tę jawną bezkarność. Jeżeli w dodatku chłopek posiada tak zwany bilet na strzelbę, wydawany przez władzę gubernialną dla ochrony gospodarstwa od zwierząt drapieżnych, to zaprawdę czuje się już uprawnionym do wszelkiego rodzaju polowania. Na obszarach i w lasach dworskich większych posiadłości, zwykle czujniej strzeżonych, jest on trochę bardziej skrępowanym, choć straż leśna nie ma prawa strzelby mu odebrać, a iluż jest takich, którzy się włóczą ze strzelbami bez biletów, lecz na gruntach włościańskich swej gminy odpowiada butnie, że poluje u siebie, choć rzeczywiście wypatruje tylko chwilę, aby wpaść do lasu dworskiego. Ileż to razy widziałem włościan w Marcu lub Kwietniu, siedzących ze strzelbiną o zachodzie słońca na skraju swych pól, dotykających lasu pańskiego, czyhających na szaraka, wychodzącego w celu żerowania na zasiewy ozime. Lud nasz nazywa to polowanie na wychodnego. Patrząc na to, ściskało mi się serce, jako u prawdziwego myśliwego, bo tak postępując, czyż podobna zachować choćby cokolwiek zwierzyny, gdy się ją wybija przez kłusowników. Ale czyż mogłem na to poradzić? Właściciele ziemscy są zupełnie u nas pod tym względem bezwładni. Więcej powiem, na wiosnę, a zatem w porze, niedozwalającej absolutnie polowania, idąc przez rynek miasta powiatowego, widziałem naczelnika miejscowej policyi, targującego najspokojniej u chłopa zabitego zająca. Na zrobioną przezemnie uwagę odpowiedział mi p. naczelnik, że tym sposobem artykuły żywności jeszcze bardziej by w mieście podrożały, o czem właściciele ziemscy pojęcia nawet nie mają. Czyż to nie jest uzuchwalaniem ciemnego chłopka do czynności bezprawnej. Polują więc wszyscy jawnie, kto w Boga wierzy i tępią zwierzynę wszelkimi niedozwolonymi i niegodziwymi środkami, uważajac ją po prostu za własność publiczną. Nastawiają tak zwane cewki (rodzaj petli) na sarny, tłuką kuropatwy na głębokim śniegu, gdy zgłodniałe ptaki podchodzą pod budynki, strzelają o każdej porze sarny-samice, a w miastach powiatowych, przylegających do znacznych bardzo dominiów, w których straż leśna bardzo kosztownie jest urządzoną, na sposób niby zagraniczny, o każdym czasie i w każdej porze roku można kupić kozła lub sarnę za $2^1/_2$, najdrożej za 3 ruble, gdy sami właściciele żałują sobie zwierzyny na własną kuchnię. Dzik postrzelony jeżeli lekko farbując przejdzie granicę jednego obszaru, mniejwięcej pilniej trochę strzeżonego, stanie się niezawodnie pastwą kłusowników, zwanych tu przez lud wiejski „samołazów“. Uważają to za rzecz tak naturalną, że ludność okolicznych wsi udziela im pomocy przy dobijaniu takiego dzika w lasach obywatelskich, a policya gminna, nawet i państwowa, wcale temu nie przeszkadza, bo każdy z tak zwanych u nas policyjnych urjadników gotów sam strzelać na takiem bezpańskiem polowaniu. Z tego sądzić można o poszanowaniu prawa myśliwskiego. Psy gończe i podwórzowe włóczą się bezkarnie po polach dworskich i lasach, za każdym włościaninem, jadącym furą do lasu, biegnie jego piesek, którym się chlubi, jeżeli dobrze goni zająca lub kozę. Psy takie mają dziwną wprawę, nasłuchując wczasie odbywającego się polowania w lesie, pędząc w trop za każdym podstrzałkiem, którego myśliwi znajdą zwykle rozszarpanym i na pół zjedzonym. Straży leśnej psów takich strzelać nie wolno, bo sądownie za to odpowiada, wolno tylko psa złapać, co prawie niemożebne, związać i odstawić do policyi ze skargą oficyalną, zkąd go natychmiast wypuszczą. Pozostaje tylko droga procesu, ale jakże ona długa i kosztowna z powodu obrony i świadków, których do sądu o kilka mil po kilka razy posyłać należy, a tem samem odrywać od służby i zajęcia. Wygrana przytem bardzo wątpliwa, gdy się zaskarza włościanina, co naturalnie jeszcze bardziej ich uzuchwala.

Jakżeż więc w takim stanie rzeczy możemy marzyć o powiększeniu lub choćby tylko o zachowaniu zwierzostanu? Zmniejsza się on też przerażająco z roku na rok na całym obszarze tutejszych prowincyj. Lasy, w których się dotąd zachowało trochę zwierzyny, są to oazy, które coraz stają się rzadszemi. Mimo to oszczędzając ile możności sarny, udało mi się tej zimy upolować w swych lasach kilka dzików, pośród tych jednego ogromnego odyńca, a drugiego dwuletniego wycinka, choć nie mieliśmy prawie ponowy i objeżdżanie dzików po srokatej stopie było bardzo mozolne. Od dwóch dni dopiero spadły u nas pierwsze głębokie śniegi, to też zawiadomiwszy łaskawych sąsiadów, wybieram się na łowy, bo straż leśna dała mi znać o kilku dzikich pojedynkach i dwóch maciorach z warchlakami, które obecnie po ślicznej ponowie pobereźnicy, t. j. gajowi potrafią z pewnością doskonale otropić. Użyjemy więc da Bóg prawdziwej uciechy myśliwskiej i będziemy się starali zapomnieć wśród prześlicznych borów sosnowych, świerkowych i dębowych o tych ciężkich czasach, na które w ogóle wszyscy narzekamy. Jako *possessionatus et bene natus*, a zatem prawdziwy syn naszego ziemiańsko-rycerskiego narodu, uważam polowanie jako najdzielniejszy środek rozpędzenia smutnych myśli. △.

Pantalowice 10. Marca 1887.

Skargi i żale w całym kraju od jesieni r. z. o zmniejszeniu się stanu zajęcy w skutek nawalnej zeszłorocznej zimy, mogły i z naszej okolicy dójść do wiadomości wielu, zwłaszcza że pola nasze pozbawione są przeważnie nie tylko naturalnych, lecz i sztucznych remiz, stanowiących schroniska zajęcy i kuropatw przed tępiącymi ich rabusiami. W obrębie Pruchnicko-Kańczuckiego Towarzystwa myśliwskiego polujemy zazwyczaj w kociołkach (krajzach) i jeśli przy tym sposobie polowania

rzadko kiedy ujdzie chybiony zając, to natomiast wystrzegamy się o ile możności polować rok po roku w tej samej miejscowości, zostawiając nadto w każdej nietknięte kawałki. Na obszarach Towarzystwa tego ubiliśmy w przecięciu podczas ostatniej kampanii nie wiele mniej niż w latach poprzednich. Na dziewięciu polowaniach padło od strzałów Towarzyszy: 201 zajęcy, 3 lisy i 4 kuropatwy, razem 208 sztuk, dozorcy zaś nasi ubili 6 lisów, 21 psów, 26 kotów, 13 jastrzębi i 226 srok i wron, razem 292 sztuk. Ogółem przez lat 6 zabiliśmy: zajęcy 1.279, lisów 19, kuropatw 33, słonek 4, czyli sztuk 1.335. Dozorcy nasi sprzątnęli szkodników razem sztuk 1.462, mianowicie lisów 6, psów 119, kotów 259, jąstrzębi 98, srok i wron 980.

Obecnie kończy się sześcioletni okres czasu, na jaki zawiązane zostało Towarzystwo nasze. W obrębie i granicach możliwości cel, jaki takie Stowarzyszenia osięgnąć mogą, został i u nas dopięty. Prócz opieki nad zwierzostanem i poskramiania kłusownictwa, związaniem się w drużynę myśliwską osięgnęliśmy cel główny, t. j. obudzenie, ożywienie i utrzymanie życia towarzyskiego, pożytek z przyjemnością połączony został, a większość Towarzyszy uznawała to i uznaje, gdyż na dalszych lat 6 postanowiliśmy Towarzystwo nasze utrzymać. Na przyszłość ubywa nam 7 gmin z terytoryum, a przybywają dwie i polować będziemy w 15 gminach na obszarze około 20.000 morgów. W mniejszem więc kole członków, lecz Pruchnicko-Kanczuckie Towarzystwo myśliwskie istnieć nie przestaje, i wszystkiem, co będzie wzmianki godnem, dzielić się i nadal będziemy z kolegami myśliwstwa a czytelnikami „Łowca“. *W. Bzowski.*

Tuczempy 12. Marca 1887.

Około połowy Lutego b. r. pojechałem na Wołyń do Porycka dla przepędzenia tam dni kilku. Zastawszy lasy śliczną ponową pokryte, nic dziwnego, że głównem zajęciem było polowanie na dziki, które w lasach poryckich w znacznej znajdują się liczbie. Polowanie tamtejsze zupełnie jest inne od naszego, a co prawda, o wiele ładniejsze i większą emocyę sprawiające myśliwemu, bo z pięcioma doskonałymi kundysami, we dwie, najwięcej trzy strzelby, prawie codzień z dwoma lub trzema dzikami wracaliśmy do domu. Tropiciel pierwszej klasy w osobie typowego tamtejszego chłopa Bohuna, z wyjątkowym zmysłem do wyszukania i obcięcia w jak najmniejszej przestrzeni, czasem dwumorgowej, odyńca, lub też całego stada, a to w tamtejszych lasach o tyle trudniej, że nie wszędzie linje tropienie ułatwiają i trzeba się posługiwać drożynkami i ścieżkami leśnemi, do czego konieczna doskonała znajomość miejscowości, oraz legowisk zwyczajnych dzików. W zeszłym miesiącu Lutym padło li tylko przy wymienionych 5 psach sztuk 20, w tej liczbie 12 większych, w przeciągu dwóch tygodni przez jednego myśliwego zabitych, strzelanych, 6 zaś zakłutych kordelasem, trzymanych przez psy. Chcę opowiedzieć sposób, w jaki polowałem. Gdy Bohun otropił stadko, braliśmy cztery psy po dwa na sfory, tropowca zaś „Tybra“ ja sam prowadziłem; w tym porządku jak najciszej podchodziliśmy do barłogów: gdy ten był już tak blisko, że „Tyber“ przestał prowadzić tropem w śniegu, lecz górnym wiatrem się kierował, oraz zaczynał się już niepokoić, puszczałem go naprzód, a gdy tylko dał głos, Bohun puszczał pozostałe cztery, które w tej chwili stanowiły jedną lub dwie sztuki; tu trzeba było jak najprędzej dobiedz, co czasem nie było łatwem dla wysokiego śniegu i gałęzi, zwłaszcza jeżeli dziki ruszyły tak, że psy nie koło barłogu, ale gdzieś dalej zaczęły atakować, co się zdarzało, jak śnieg pod nogami chrupał, psów zaś samych nie można było puszczać, bo za daleko odeszłyby od myśliwego, a dochodzenie bardzo byłoby forsowne. Tu dopiero zaczyna się główna akcya. Jeżeli się udało, można było zabić nietylko sztukę trzymaną przez psy, która już nie ujdzie, ale jedną ze stada, przypatrującą się ze zgrozą, co się z towarzyszami dzieje. Jeżeli stado uszło, zostawiając na łaskę i niełaskę członka rodziny, zachodziłem z tyłu, by uchwycić chwilę zakłucia; skończywszy z jedną, poszukiwało się reszty, psy zaś miały ten zmysł, że nigdy wszystkie do jednej sztuki się nie brały tak, że prawie zawsze dwie przytrzymały, a te się już nie wymknęły. Gdy tylko jednego dzika udało im się osadzić, a ten został już zakłuty, czemprędzej go porzucały, spiesząc za innymi i często złapały jeszcze jednego. Z wszelką łatwością osadzały kilkuletnią samurę, warchlaka zaś często w pojedynkę brały. Z odyńcem lub wycinkiem inna była sprawa, bo nie chcieliśmy psów niepotrzebnie na niebezpieczeństwo ścięcia narażać, szedł więc tylko stary „Tyber“, weteran w swoim zawodzie, cięty zeszłego roku 8 razy, co mu jednak zamiłowania do dzików nie odjęło, a posłużyło o tyle, że teraz o wiele ostrożniejszy. Znalazłszy odyńca naszczekiwał go w miejscu lub prowadził, z czego ten nie wiele sobie robił i od czasu do czasu stawał, by się opędzać, ja zaś podchodziłem, kierując się głosem „Tybra“ i strzelałem w stosownej chwili. Nie licząc mniejszych, zabiłem 4 grube sztuki, z których osobliwie jeden był śliczny, z pięknemi, bardzo ostremi szablami; inne 3 nie wiele co do wielkości mu ustępowały. I tym razem poczciwe psiska wszystkie cało nie uszły, bo jednego dnia zdawało się, że są w miocie 3 sztuki i to nie duże, w skutek czego podprowadziwszy kawałek, puściłem wszystkie psy, pokazało się jednak, że ten sam wycinek tam i nazad pochodził i zbałamucił nas, gdy zaś psy go zaatakowały w gąszczu, ciął silnie przez głowę aż do czaszki młodego psa, lecz na szczęście nie śmiertelnie tak, że spodziewam się, iż biedak się wyliże. W dniach, gdy dzików nie było, polowaliśmy na rogacze i lisy. Stan sarn wcale ładny i mógłby być świetny, gdyby nie przechodnie wilki, które wprawdzie wszelkimi sposobami starają się tu tępić, mimo to jednak przynajmniej raz na tydzień przechodzą, obłęgając bardzo rzadko. Podczas mego pobytu znaleziono 4 sztuki zjedzone. Przez kilka dni przeszkadzały nam wysokie śniegi, w skutek których dziki wcale nie ruszały i tropów nigdzie nie było. Dopiero po 4-rech dniach nastała odwilż i to była najlepsza pora do polowania, bo bardzo cicho można było podchodzić. Ten rodzaj polowania często jest nadzwyczaj forsowny, osobliwie na odyńca albo wycinka, który gdy zacznie z psem tam i nazad chodzić, może myśliwego ogromnie zmęczyć, a idzie się często dwie lub trzy wiorsty w śniegu, naturalnie o ile można jak najprędzej, nim się do strzału przyjdzie, trud jednak sowicie bywa wynagrodzony. Zeszłej zimy, przy tych samych psach padło 26 sztuk dzików, jeden pies zaś poległ na polu walki. Ten rodzaj polowania istnieje w Porycku od lat kilkunastu, a całą podporą są waleczne pieski, nie zważające na śmierć i rany, co roku zaś przychodzą rekruty, które pod doświadczonem kierownictwem weteranów w ich ślady wstępują. Dawniej i u nas były psiarnie do dzików, szkoda, że jakoś zarzucono je, a w większych kompleksach, których nie brak, z wielką przyjemnością dałyby się użyć. *Władysław Micewski.*

KRONIKA.

†

Dnia 19. Marca zakończył życie pełne zasług i chwały

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

Każde serce polskie przejęte żalem i boleścią. Zgasła gwiazda nasza, lecz światło jej obudziło życie, które nie zagaśnie. Wytrwałością w niezmordowanej pracy, serdeczną miłością dla ziemi rodzinnej, poświęceniem dla niej — pozostanie On wzorem dla potomności. Jak żyjącego otaczała cześć powszechna, tak też po zgonie wdzięczność rodaków nieśmiertelnym wieńcem owije Jego mogiłę. Do chóru żałobnego i my przyłączamy się serdecznym naszym żalem, bo i nasze dążenia znalazły u zmarłego szczere uznanie i chętne poparcie.

Był dąb wśród boru sędziwy, wspaniały,
Co swych potężnych konarów promieniem
Zda się w ramiona przygarniał las cały,
Zda się kraj cały otaczał swym cieniem.

Był mąż w narodzie geniuszem niezmierny,
Co mocą ducha i potężnem słowem,
W zasadach twardy, wierze starej wierny,
Biedny swój naród natchnął życiem nowem.

Runął dąb gromem strzaskany i burzą,
Skonał mąż wielki kończąc dni tułacze,
A wichry w borze pieśń żałobną wtórzą,
A nad mogiłą męża naród płacze!!

Na posiedzeniu Wydziału galic. Tow. łow. z dnia 16. Marca 1887 obecni byli: wiceprezes Towarzystwa hr. Szembek Stefan jako przewodniczący, członkowie: ordynat Czarkowski Tadeusz, Glanz Józef, Dr. Kratter Ferdynand, Rieger Władysław, Dr. Rieger Zygmunt, Simon Edward, Zontak Władysław.

W sprawie urządzenia równocześnie z wystawą krajową wystawy łowieckiej zapadła na wniosek p. Wład. Riegera uchwała wystosowania pisma do komitetu wystawowego w Krakowie na ręce hr. Artura Potockiego, w celu bliższego porozumienia się w sprawie urządzenia wystawy łowieckiej.

Wydział przeznacza 400 złr. na cele urządzenia wytawy łowieckiej z warunkiem, iż równocześnie z wystawą łowiecką urządzoną będzie wystawa leśna. Koszta wystawy nie mogą przekraczać kwoty 400 złr.

Wydział wstrzymuje się z ogłoszeniem odezwy do myśliwych, wzywającej do wzięcia udziału w wystawie łowieckiej aż do chwili odebrania odpowiedzi komitetu wystawowego, o której Sekretaryat ma natychmiast uwiadomić p. dyrektora Glanza.

Wydział postanawia nie przychylić się do prośby p. Stępińskiego, domagającej się zezwolenia wybicia 15 kóz, opierając się na opinii delegata, jako też ze względu, iż w prośbie tej nie podano cyfry ogólnej stanu sarn i istotnej potrzeby wybijania kóz.

Wydział uchwala przesłać Wys. c. k. Namiestnictwu doniesienie o bezprawnem wybijaniu kóz przez p. Wiktora Gałęzowskiego, z prośbą o zbadanie faktów przez c. k. Starostwo w Przemyślu.

Wydział przyznaje nagrodę w kwocie 5 złr. pobereżnikowi w Nadwórny za ujęcie rysia.

Wydział uchwala prowadzenie osobnego protokołu uchwał Wydziału, celem uzyskania ewidencyi wykonania tychże.

Wydział regulując sprawę inseratów umieszczanych w „Łowcu“, poleca Sekretarzowi ściąganie zaległości, oraz umieszczanie inseratów w „Łowcu“ dopiero po złożeniu należytości.

Wydział uchwala odbywać posiedzenia Wydziału w każdą drugą niedzielę w miesiącu.

Trembowla 2. Marca.

Jako leśnik z zawodu kocham las i wszystko, co w nim żyje, a będąc oraz myśliwym ciałem i duszą, starałem się i staram obok najmilszej mojej rozrywki polowania, o ile na to czas pozwala i sposobność się nadarza, rozpoznawać tryb życia i obyczaje zwierząt łownych, zestawiając nabyte wiadomości teoretyczne z praktyką. O ile ta teorya jest zgodną z prawdą w przyrodzie, uznaję ją jako pożyteczną dla praktyki wiedzę, ludziom zaś niosącym owe światło, biję pokłony. Ośmielony wezwaniem hr. Kaź. Wodzickiego do wyjaśnienia poruszonej przez niego w rozprawie „O rogaczach“ kwestyi, na twierdzenie: „Nie było więc, nie ma i nie będzie szpiserów“ — odpowiadam: widziałem i zastrzeliłem prawdziwego szpisera. W pewnej partyi miejskiego lasu Trembowelskiego rzuciła koza w drugiej połowie Maja 1885 dwoje sarniąt, kozę i rogaczyka. Familia wychodziła codziennie na małą polankę, niezbyt odległą od mego mieszkania, w uroczem miejscu, nad małym potoczkiem położoną, co mnie niemal codzień na to miejsce pociągało i tak się z tymi małymi gośćmi pobratałem, że stało się dla mnie potrzebą częste odwidzanie ich. Bawiły mnie młode figlarne sarneczki, a rozrzewniała prawie miłośna opieka, jaką matka swe dzieci otaczała. Z końcem Października tegoż roku zobaczyłem u rogaczyka nabrzmiewanie miejsc, w których miały wystąpić rogi, a nabrzmienie to urosło w 3 cm. wysokie pieńki. Dzięki potrzebie, iż przy owej polance wypadło mi założyć tej samej jesieni kilkumorgowy zrąb drzewostanu grabowego, z przymieszką osiki, miałem sposobność widywania moich przyjaciół również w zimie, sarny te bowiem, mogę zapewnić, z miotu tego nie wychodziły i prócz starszego rogacza, starającego się o względy matki, nie były wcale niepokojone, a żer miały dostateczny. Widywałem je przeto niemal codziennie, a znałem tak dobrze, że mógłbym je z pomiędzy wielu rozpoznać. Jestem więc pewny, że mój rogaczyk ani był postrzelony, ani zastrzelony i nie zastąpił go inny rogacz postrzelony *(Kümmerer)* doznający macierzyńskiej opieki starej kozy. Był to ten sam znany mi rogacz, u którego już w Styczniu 1886 poczęły się niskie pieńki wydłużać tak, że z początkiem Lipca 1886, kiedy mnie dzierżawca polowania najusilniej o rogacza prosił, a nie mogąc innego dostać, z bolem serca zastrzeliłem owego rogacza, przekonałem się naocznie, iż był prawdziwym szpiczakiem-roczniakiem i że miał zupełnie czyste, najregularniej i najsymetryczniej uformowane rożki, wysokie 16 cm., proste, bez odnóg, ostro zakończone. Rożki te na pamiątkę miłych chwil, spędzonych na polance, pomnożyły mój zbiór. O prawdziwości mego spostrzeżenia mogę szan. czytelników zapewnić tylko słowem, nie posiadam bowiem innych na to dowodów. Nie podaję tego mego spostrzeżenia jako normy dla wszystkich rogaczy-roczniaków, sądzę wszakże, iż

chętnie będzie przyjęte przez myśliwych i leśników, którzy oddając się swemu zawodowi, będą mieli łatwą i częstą sposobność sprawę tę gruntownie badać i przyczynić się do wyjaśnienia nie tylko tej, ale też wielu innych spornych kwestyj na polu łowiectwa.

Alexander Błażyński,
nadleśniczy Trembowelski.

Polowanie na niedźwiedzia. Korespondent *Wieku* pisze: P. Urban Bogusz, właściciel majątku Humieniówki na Wołyniu, zawołany myśliwy, posiadający olbrzymie lasy w innym majątku Nowosiółki, w gub. mińskiej, polował tam, w towarzystwie kilku osób zaproszonych, na niedźwiedzia. Otóż w jednym miocie wypadła na linję strzelców niesłychanej wielkości niedźwiedzica. Pierwsze dwa strzały dał do niej p. Krajewski, obywatel z Dubieńskiego, które, jakkolwiek trafne, jednak lekko zraniły niedźwiedzicę, która rozdrażniona zbliżyła się do stanowiska, na którem był p. Bogusz. Uzbrojony w dubeltowy sztucer pan B., na odległość 20 kroków, dał pierwszy strzał, który przeszył niedźwiedzicę. Jakoż stanęła ona, ale tak za drzewami, iż ponowić strzału nie było można. Stojący dalej na stanowisku dr. Stankiewicz z Warszawy, do którego niedźwiedzica była zwrócona frontem, strzelił i trafił ją w pierś, lecz zaledwie strzał się rozległ, niedźwiedzica z rykiem rzuciła się na pana B., który dopiero zdążył strzelić po raz drugi, a chociaż i tym razem trafił tak, że kula wyrwała jej całą dolną szczękę, niedźwiedzica rzuciła się na myśliwego i poczęła go szarpać. To też futro i ubranie ze skóry łosiowej, które pan B. miał na sobie, zaczęło kawałami odlatywać w tę i w ową stronę, a szpony niedźwiedzicy w paru miejscach dotknęły ciała.

Wypadek ten byłby się bardzo źle skończył, gdyby nie ta okoliczność, że niedźwiedzica silnie była raniona, szczególnie zaś, że zębami posiłkować się nie mogła, gdyby nie przytomność p. Siemiątkowskiego, który celnym strzałem niedźwiedzicę położył.

Z życia orłów i sępów. Charakterystyczne szczegóły z życia zwierząt, przebywających w lasach, nie mogą być leśnikowi obojętnemi, choćby tylko dla tego, że strzelba i strzał zawsze go interesować powinny. Dla tego opowiem dwa prawdziwe zdarzenia z ornitologii wielkiego Beskidu.

W pobliżu Czarnej góry rozpościera się połonina Kostrzyca, ubrana dołem ciemną zielenią lasów szpilkowych, u góry wspaniałemi grupami skał, które miejscami tworzą z połoniny raptowne przejścia do głębokich przepaści. W sierpniu ubiegłego roku ponad łanami połoniny i pasącem się na niej bydłem krążyło leniwie kilka sępów. Pod wieczór opuszcza jeden z nich swych towarzyszy, rzuca się z impetem na woła, odpoczywającego w pobliżu przepaści, spłoszonego ściga lotem, zagradza mu ścieżkę, bije skrzydłami i po kilku chwilach wpędza odurzonego przestrachem w przepaść, gdzie oczywiście wół się zabija. Nadzorca leśny, naoczny świadek tej ze wszech miar ciekawej sceny, nie mógł z powodu spóźnionej pory skonstatować ostatecznego wyniku tego sępiego polowania i dopiero na drugi dzień odszukał rozbitego na skałach woła, a na nim ujrzał cztery sępy, szarpiące spokojnie ścierwo, jednego z nich sępa kasztanowatego (Vultur cinereus, der graue Geier) zastrzelił wśród tej uczty i ozdobił trofeą swe mieszkanie. Zoologowie Nowicki i Altum przedstawiają sępa kasztanowatego jako zupełnie niewinne stworzenie, z oczami noszącemi na sobie wyraz obżarstwa i głupowatości, żywiące się tylko padliną. Tymczasem opowiadane zdarzenie świadczyłoby o innym jego charakterze, a przynajmniej pozwala przypuszczać, że głód zmienia znanego niedołęgę na odważnego, przebiegłego i jakośmy widzieli w danym razie bardzo szkodliwego ptaka.

Drugie zdarzenie także z roku 1886. działo się również na terytoryum Żabieckiem, ale na górze Kręta i potwierdza zdanie przyrodników o zapamiętałej odwadze króla ptaków, orła przedniego (Aquila fulva, der Steinadler). Ten sam nadzorca leśny Fr. N., który zabił owego sępa, szedł ścieżką leśną, a przed nim na kilka kroków biegł pies. Nagle wzmiankowany orzeł, nie zważając na tuż postępującego uzbrojonego człowieka, rzuca się na psa, chcąc go widocznie porwać. Tym razem zawiodła jednak orła jego zręczność, pies bowiem umknął nieuszkodzony do nóg swego pana, który celnym strzałem położył zapamiętałego napastnika.

(„Sylwan.“) *Piotr Hirsch*, nadleśniczy.

Szepetówka 19. marca 1887.

W Szepetówce na Wołyniu u hr. Józefa Potockiego odbyło się pięciodniowe polowanie w dniach od 19. do 24. lutego. Prócz gospodarza brali w niem udział: książe Stanisław Lubomirski, hrabiowie August, Tomasz i Floryan Zamojscy i hr. Zdzisław Tarnowski. Świeża ponowa i prześliczna pogoda sprzyjały myśliwym. Na 90 strzałów, prawie wyłącznie sztućcowych, padło, dzików 21, rogaczy 10, drobnej zwierzyny 11, razem sztuk 42. Rezultat zaiste świetny, odpowiadający w zupełności sławie, jaką się cieszy znana w całym kraju słynna knieja Szepetowiecka. Po ostatniem polowaniu zostało w lesie dzików około 60, zatem nadzieja na rok przyszły niemniej pięknego rezultatu. *Z.*

Gazety donoszą, że z początkiem lutego b. r. w okolicach Warszawy widziano kilka stad dzikich gęsi, na polach żerujących. Miałożby to oznaczać bliskość wiosny? Nie! Dowodem śniegi spadające obficie, które poleżą zapewne do końca marca. Jakkolwiek znakomity nasz autor i myśliwy hr. Leopold Starzeński w Łowcu skruszył kopję w obronie gęsi, które ktoś poważył się nazwać głupiemi, to ja jednak ośmielę się twierdzić, że one istotnie są takiemi. Wszakże nawet przysłowie mówi: „głupia gęś“. Jakoż trudno im przyznać wiele rozumu, chociaż przyznać trzeba, że nie łatwo je podejść. Pod względem daru przepowiadania bliskiej wiosny, nie tęgie one znachorki, lada ptaszyna, zięba, bekas, wyprzedzają je w tym kunszcie. Żadne z tych ptasząt nie omyli się w przylocie do krajów rodzinnych, więc śnieg ich nie zasypie. Nawet kaczki mędrsze od gęsi, nikt bowiem nie widział śniegu i lodu po ich przylocie, gdy przeciwnie gęsiom bardzo często się to przydarza. „Co się urodziło łysem — jak mówi przysłowie — takiem też zginie“. *U.*

Z pod Żurawna 3. marca 1887.

W ostatnich dniach lutego polowano tu w Łukowcu i w Holeszowie przeważnie na dziki. Rezultat obydwu polowań był ubity dzik — jeden, w Holeszowie. Wiadomość ta należy właściwie do *Łowca*, a wspominam o tem jedynie dlatego, aby poruszyć ważną kwestyę tępienia dzików, tej prawdziwej plagi tutejszej okolicy. Kto tu nie był w lecie, gdy plony na polach dojrzewają, nie ma pojęcia o szkodach zrządzonych przez te dzikie trzody, przeciągające tłumami po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt sztuk razem. Którędy przejdzie taka trzoda, nie pozostawia po sobie i źdźbła nawet. To też całe wsie w tutejszej okolicy nocują w polu, rozniecając ogniska lub hałasując — opędzają się tym szkodnikom, inaczej w żniwa nie mieliby co zbierać. Smutne to stosunki, którym należałoby kres położyć — przez radykalne wytępienie dzików. Starostwo bobreckie podjęło zeszłego roku w tej mierze inicjatywę, rozsyłając okólnik do obszarów dworskich, aby w porozumieniu z władzą polityczną obmyślano odpowiednie ku temu środki a więc ogólną obławę. Okólnik ten pozostał prawdopodobnie bez odpowiedzi ze strony obszarów dworskich, gdyż o takiej ogólnej obławie dotąd nie słychać; a teraz jest właśnie ostatnia pora ku temu, póki zwierz leży w kniei. Przyznać trzeba, że usiłowania Starostwa spotykają się z niechęcią właścicieli polowań w poszczególnych rewirach, którym zależy właśnie na pielęgnowaniu tych dzikich szkodników; lecz wzgląd na dobro ogólne powinienby stanowić dla władzy politycznej jedyną dyrektywę. Co się tyczy jednak tutejszej okolicy, to zarządzenie jedyne Starostwa bóbreckiego jest niewystarczającem. Knieja bowiem z której na całą okolicę rozchodzą się dziki, składa się z kilku rewirów jednym ciągiem ze sobą połączonych, jak: Łukowiec, Wiszniów, Żurawno, Holeszów, Mołodyńce; a każdy z tych rewirów należy do jednego z trzech Starostw: Żydaczowa, Bóbrki lub Rohatyna. Koniecznem więc jest porozumienie się tych trzech Starostw między sobą i zarządzenie ogólnej obławy we wszystkich naraz rewirach, gdyż chociażby przyszło do akcji ze strony jednego Starostwa, to przekroczenie granic obcego, Starostwa musiałoby być wykluczonem, a więc i obława bezskuteczną. Sporadycznie zaś przez właścicieli poszczególnych rewirów urządzane polowania nie prowadzą do celu, jak się to okazuje najlepiej z rezultatu ostatnich polowań. *(Dzien. pols.)*

Ogłoszenie.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

I. Związkowa Drukarnia we Lwowie.